

Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169

Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_1A [00:00:00]

Maria Furmaniak-Żurek: Nazywam się Maria Żurek, panięńskie nazwisko Furmaniak. Teraz powiem kilka słów o swoich rodzicach. Rodzice tak mama, jak i tata urodzeni byli w Rosji. Tatuś urodził się w Czechryniu, mama w *(niezrozumiale)*. U tatusia rodzina była wielodzietna.

Wiesław Krasnodębski: Jeszcze mam pytanie, jakie losy ich rzuciły tak głęboko w głąb Rosji?

MFŻ: Przypuszczam, że może częściowo wędrowka za pewnym rodzajem, za chlebem. Dlatego, że rodzice byli z rodzin rzemieślniczych. Miastem ich rodzinnym to był chyba Biłgoraj i ich rodzice wyemigrowali po prostu szukając miejsca, gdzie mogliby ten swój zawód uprawiać. Tatuś został okrągłym sierotą w wieku 12 lat, już byli bez ojca i bez matki. Ich starszy brat był opiekunem i nigdy nie musiał ani w wojsku służyć, ani odbywać wszystkich tych innych czynności nakazanych przez państwo. Tatusia zabrała do Kijowa ciotka jego, tam tata się wychowywał i pracował potem, jako ekspedient w ich sklepie. Jako z kolei młodszy musiał brać udział w I wojnie światowej, był zmobilizowany, bo urodził się w 1890 roku. Ale tutaj była właśnie cała tragedia w udziale taty w tej wojnie, dlatego że jak wiadomo, ci, co stali po drugiej stronie frontu to też byli Polacy, Polacy ze wszystkich tych zaborów. Nie chcąc zabijać swoich tatuś poszedł do niewoli, w której u Niemców przebył przez 3 lata, kilka razy uciekał z niewoli, ale zawsze był chwytyany i z powrotem zabierany do obozów. Później wybuchła rewolucja, którą też musiał tam przeżyć, wiadomo, jakie były wtedy losy ludzi. W każdym bądź razie, jako dowód tych strasznych przeżyć w czasie rewolucji to mogę tylko powiedzieć, że moja ciocia w jedną noc w czasie rewolucji osiwała, dosłownie ile ona miała wtedy lat, ponad 20 lat tylko. I przez całe życie, pamiętam, ją z mlecznobiałymi włosami. Mamusia pochodziła też z licznej rodziny. Tam się poznali w *(nz)*, pobrali się i w 1920 urodziła się pierwsza moja siostra Helenka, z którą rodzice uciekali w 20 roku, jak miała pół roku. Wszystko tam zostawili w Rosji, cały swój dorobek i przez zieloną granicę przekroczyli do Polski.

WK: To już była wtedy jakaś granica tam?

MFŻ: No już była, bo to był 20 rok. To były te działania wojenne, ciągle front się cofał.

[1A, 00:05:00]

To Rosjanie, właściwie Bolszewicy doszli przecież aż do Warszawy, a potem się cofali, zresztą cały czas były te działania wojenne. Rodzice osiedlili się tuż przy granicy ze względu na to, że po prostu nie mieli nikogo, dokąd mogliby pojechać. To były miejscowości Stołpce, Stołowicze i Baranowicze, tam się urodzili bracia, Józek w 1923 roku i Tadzik w 1925. Następnie dalsze miejsce pobytu to już Brześć nad Bugiem, gdzie w 27 roku urodziła się siostra Janka i w 30 ja,

jako najmłodsza z rodziny. Dzieciństwo było szczęśliwe do wybuchu wojny do 1939 roku. Rodzice byli bardzo religijni, zgodni, wychowywano nas, bardzo patriotyczne wychowanie było. Cała rodzina była śpiewająca, chłopcy byli ministrantami, rodzice i siostra brali udział w chórze kościelnym, w bractwach kościelnych, jak straż honorowa, żywy różaniec. Z kolei siostra najstarsza należała również do organizacji Przysposobienie Wojskowe Kobiet, gdzie jeszcze, jako studentka po prostu była szkolona. Mamusia przechodziła szkolenie sanitarne i przeciwgazowe w 1939 roku, kiedy już było bardzo głośno o tym, że może być wojna. Tym bardziej, że w lutym w czasie pierwszej już mobilizacji tatuś był zmobilizowany i był już w twierdzy brzeskiej aż do wybuchu wojny. Ja, jako 9-latek byłam wtedy łącznikiem między miastem a twierdzą, bo było bardzo dużo mężczyzn, którzy pochodzili z Brześcia lub okolic i zawsze prosili, żeby coś, czy zanieść, czy zawiadomić rodzinę o pewnych sprawach. I w 1939 roku w związku z tym, że tatuś był zmobilizowany przysługiwał nam wyjazd na kolonie wojskowe, ale jakies, nie pamiętam już teraz, jakie to były przyczyny, że się nam po prostu nie udało wyjechać, to znaczy mnie i siostrze. Wtedy za własne oszczędności szkolne wyjechałyśmy na kolonie do Tomaszówki. Muszę stwierdzić, że stosunek ludności okolicznej do dzieci będących na kolonii był wrogi.

WK: A gdzie ta Tomaszówka była?

MFŻ: Tomaszówka to jest tutaj gdzieś już koło Białowieży, tutaj w tym kierunku na białostocką raczej.

WK: To, dlaczego wrogi?

MFŻ: Dlatego, że tam było już bardzo dużo komunistów, którzy raczej czekali na swoich.

WK: Ale tam była białoruska?

MFŻ: Białoruska, to znaczy mieszana była ludność, ale większość była tam chyba jednak Białorusinów. Pamiętam tylko, jako dziecko, że w czasie ognisk urządzanych tam na kolonii były przypadki, że wrzucano naboje do ognisk. I już ostatnie tygodnie to byliśmy po prostu otoczeni kordonem policji dookoła. A jeszcze następnym dowodem właśnie tego złego stosunku to było rozkręcenie torów przed pociągiem wiozących nas z kolei do Brześcia. Z tym, że w porę spostrzeżono, zatrzymano pociąg i przyjechaliśmy do Brześcia z opóźnieniem dużym, co spowodowało w pewnym sensie jakąś panikę wśród rodziców, którzy czekali na dzieci, ale dojechaliśmy szczęśliwie. I już za kilka dni wybuchła wojna i były pierwsze bombardowania. Bombardowano miasto, lotnisko, Brześć był wielkim węzłem kolejowym, więc również dworzec.

[1A, 00:10:00]

I w tym czasie pewnej nocy przyleciał do domu tatuś z twierdzy prosząc żebyśmy po prostu uciekli z miasta, wyjechali do znajomych do Wielokorytu to było gdzieś tak chyba ze 30 kilometrów od miasta. No, więc mamusia zabrała nas pięcioro swoich dzieci z nami i babcię, i również lokatorów, którzy chcieli z nami wyjechać z miasta, to była też rodzina dość liczna. Przez całą noc staraliśmy się wyjechać z miasta, były wielkie trudności ze względu na to, że były już ruchy wojska, a trzeba było przejechać mostem tym, który był koło twierdzy, ale wreszcie udało się nam wyjechać. W nocy jechaliśmy, a w dzień chowaliśmy się w lasach, dlatego, że samoloty ostrzeliwały nie patrząc na to, że to była ludność cywilna, która uciekała z miasta. Dzień przebyliśmy w tym lesie, jak się już zmierzchno wyjechaliśmy w dalszą drogę, jechaliśmy wozem. Jechaliśmy poboczem drogi, ale jezdnią uciekało wojsko, już wycofywało się do Rumunii, jechali bez oświetlenia. I trzeba było takiego przypadku, że po prostu uderzyli w nasz wóz, koń się spłoszył i rzucił się dosłownie na, chciał na środek jezdni się rzucić i ta moja siostra Janka dosłownie powiesiła się na lejcach i tym sposobem uratowała nas pozostałych. W czasie tego uderzenia wóz został złamany w połowie, dwie osoby to znaczy nasza niania i tych naszych lokatorów babcia zostały ranne śmiertelnie. Jedna z nich zmarła w czasie wiezienia ich do szpitala, a druga w szpitalu następnego dnia. Oprócz tego matka miała połamane obie nogi, a córka dostała takiego strasznego szoku, że trzeba było z matką razem też wysłać do szpitala. Mieliśmy trudności z zatrzymaniem samochodów, żeby zabrały rannych ze sobą, ale wreszcie zdecydowałyśmy się na, po prostu stanęliśmy w poprzek jezdni i w ten sposób zatrzymaliśmy samochody, które zabrały tych rannych i odwiozły. I moja mama została z piątką swoich dzieci, z babcią i z trójką dzieci tych właśnie poszkodowanych sama jedna dosłownie w środku lasu. Wóz odciągnięto do leśniczówki, która była w pobliżu i dalej już szliśmy na piechotę. Spotkałyśmy po drodze, właściwie dopędziły nas tabory wojskowe konne, wzięły dzieci na te wozy, a dorośli szli. Karmili nas sucharami wojskowymi i tą kawą z cukrem w kostkach. Rankiem już dobiliśmy do Wielkoryty i tam zatrzymaliśmy się u znajomego dróżnika. I trzeba trafu, że uciekając z miasta przed tymi bombardowaniami to my trafiliśmy również na działania wojenne, nasze wojska wycofywały się przez rzekę i chcąc zatrzymać, po prostu utrudnić Niemcom przejście przez tą rzekę spalili most. Niemcy uważali to za sygnał, że tam jest wojsko, bo po prostu ludzie z piątej tej tak zwanej kolumny, Szpiegowie rozpalali nieraz ogniska, czy dawali po prostu inne jakieś sygnały.

[1A, 00:15:00]

I wtedy, jak podpalili Polacy ten most to dosłownie nie upłynęło 10 minut, jak już był nalot straszny, bombardowanie właśnie tej Wielkoryty. To było tak nieoczekiwane, że to było w czasie obiadu, myśmy wyskoczyli tylko z tego domu, ale już pierwszą ofiarą była żona tego

Pana, u którego żeśmy się zatrzymali, tego dróżnika, była ofiarą śmiertelną. Po raz pierwszy wtedy widziałam, jak lecą bomby,. Tym bardziej, że chłopcy poszli z żołnierzami po prostu z ciekawości, jak zwykle, bo chłopców ciągnie do wojska i całą tą bitwę przebyli nad tą rzeką. I przy rzece była bitwa z oddziałami niemieckimi, z czołgami i te wojska miały trupie czaszki, jako odznakę. To było pierwsze zetknięcie się z Niemcami wtedy, kilka czołgów tam zniszczono, tylko dwa czołgi wróciły z tej bitwy, wycofali się Niemcy. Byliśmy tam jeszcze przez pewien czas, ale trzeba było wracać do domu, do Brześcia. Jak wracaliśmy to już zastaliśmy w mieście bolszewików, którzy 17 września przekroczyli granicę Polski. Niemcy wycofali się do Bugu, a Brześć pozostał już po stronie radzieckiej. Były urządzone tryumfalne bramy, Żydzi się chwalili, że teraz będzie ich panowanie, że teraz ich będą kamienice, a nasze ulice i tak było istotnie. Dom nam zabrali i wysiedlono do drewniaka, w którym po raz pierwszy widziałam taką wilgoć, że rosły grzyby dosłownie na ścianach. Po kilku miesiącach wrócił tatuś w przebraniu cywilnym, dlatego że były bardzo częste przypadki mordowania żołnierzy wracających przez okoliczną ludność na Polesiu. I zaczęły się dla nas już bardzo ciężkie dni, zima z 39 na 40 rok była straszna, mrozy dochodziły do 40 stopni, wtedy wymarzły wszystkie sady. Nocami całymi stało się w kolejkę po chleb. Widok tychże wojsk radzieckich był dla nas czymś niesamowitym, pamiętam te wozy wojskowe na takich bardzo dużych kołach i te konie, na których można było policzyć wszystkie żebra. Czapki były te budionówki z takimi dziobami na wierzchu, te długie (nz) i te niewiasty, Rosjanki, które były też w wojsku, też wyglądało to wszystko bardzo żałośnie.

WK: One w wojsku były, w jakich funkcjach?

MFŻ: Chyba w jakichś pomocniczych. Jak sobie dawaliśmy początkowo radę? Po prostu sprzedawało się to, co było można sprzedać, co się nadawało, szczególnie ubrania, bardzo chętnie kupowały to. I sama widziałam w pięknych nocnych koszulach przechadzające się te Rosjanki, dlatego że one uważały to za suknie po prostu. I zaczęły się już deportacje, to znaczy wywożenie na Syberię. Z naszego domu wywieziono dwie rodziny na Syberię.

[1A, 00:20:00]

Wywożono wagonami towarowymi, przyjeżdżano w nocy, kazano w bardzo krótkim czasie wziąć cośkolwiek ze sobą to, co można było wziąć w rękę. Ale wtedy uniknęliśmy wywieżenia. Moja starsza siostra Helenka i brat Józek zostali zatrudnieni na poczcie w Brześciu, dlatego że władze już radzieckie kazali wracać wszystkim do tych miejsc pracy, które zajmowali kiedyś. Ale był taki zwyczaj, że przed 1 maja zawsze profilaktycznie zamykano do więzienia szczególnie mężczyzn i młodych chłopców i to spotkało mojego brata Józka, który został z kilkoma starszymi mężczyznami i kilku młodych chłopców zabrani do więzienia w

Brześciu. I on wyszedł z więzienia dopiero w 41 roku wtedy, kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Ze względu na to, że Brześć był miastem pogranicznym, nad samą granicą już w przeddzień wybuchu wojny przychodziły, zresztą cały czas przychodziły transporty z wymiany handlowej między bolszewikami i Niemcami. Ale okazało się, że ostatni transport, który przekroczył granicę i stał na torach w Brześciu koło dworca, to już były nie produkty żywnościowe, ale był załadowany wojskiem. I już rano, jak wybuchła wojna, jeśli sobie przypominam to była gdzieś godzina, czy 2, czy 3 w nocy, jak zaczął się ostrzał, początkowo myśleliśmy, że to jest burza, ale to niestety były już działania wojenne, to od razu otworzono te wagony i Niemcy zajęli dworzec. W tym czasie więźniowie w więzieniu starali się wydostać. Więzienie w Brześciu było wybudowane, jeśli sobie przypominam, czy 37, czy 38 rok, to było bardzo nowoczesne więzienie, a jednocześnie bardzo mocne. Drzwi wybijano ławami, bo przecież nie było, komu otworzyć chociażby jednej celi, żeby potem mogli więźniowie jedni drugim pomagać wychodzić. Ława ta odskoczyła i złamała bratu rękę. Wydostali się z tej celi i uwalniali następne cele. I już rano, gdzieś tak o godzinie 6 przyszli więźniowie z bratem do nas tam, gdzie myśmy mieszkali w tym drewnianym domku.

WK: Marysiu, czy pamiętasz ucieczkę Sowietów? Czy to była paniczna, czy jakaś zorganizowana ucieczka?

MFŻ: To była ucieczka paniczna, dlatego, że widziałam na własne oczy jednego z Rosjan, który w białym rowerem uciekał bulwarem, który był naprzeciw naszego domu. I tam go zabił pocisk i pochowany był właśnie na tym bulwarze. Dlatego, że była chwilowa przerwa w tym ostrzale, po prostu myśmy się z tym oswoili, bo to trwało przecież jednak dość długo. I z siostrą tą średnią chciałyśmy wyrzeć po prostu, co się dzieje tutaj na zewnątrz od ulicy i właśnie wtedy ten pocisk upadł, zabił tego Rosjanina, a siostrę ogłuszyło i raniło w rękę. Tym bardziej jeszcze chciałam zaznaczyć, że nie mieliśmy po prostu miejsca, gdzie by się można było schować.

[1A, 00:25:00]

Nie było żadnych schronów, przecież się nikt tego jeszcze nie spodziewał. Więc mama doświadczona po prostu życiowo, położyła nas, wszystkie dzieci w ogródku i nakryła poduszkami i wszystkim tym, co się raczej, czy pierzyną jakąś, czy poduszką. Ale musiała jeszcze po coś wrócić do domu i zobaczyła, że obraz serca Pana Jezusa, który wisiał na ścianie i z którym zawsze żeśmy uciekali wędrując zawsze zabieraliśmy go ze sobą, to że on się po prostu przekrzywił. Zdjęła go i wyniosła do ogrodu, jak wróciliśmy po tym ostrzale już do domu, ściana ta od ulicy była dosłownie odłamkami posiekana, a w miejscu, gdzie wisiał ten obraz to była taka dziura, że moja dziecinną pięść wchodziła w tę dziurę i odłamek ten był w pierzynie w łóżku. I z tej pierzyny wyjęliśmy ten odłamek dopiero już w Polsce w 56 roku, jak

się dosłownie przesypywało tą pierzynę w inną poszwę. Jeszcze wracając do powrotu brata z tymi więźniami, jakie było moje pierwsze wrażenie, oni wyglądali strasznie, po pierwsze byli po prostu kredowobiali na twarzy. I pamiętam, że moja mama, która zawsze mimo ciężkich warunków materialnych w czasie wojny starała się zawsze pomagać jeszcze bardziej potrzebującym od nas, dała im tylko po kawałku chleba i wody. Ja jeszcze wtedy nie wiedziałam o tym, że nie można było ich nakarmić do syta, bo były przypadki skrętu kiszek i śmierci. Jeszcze chciałam o czymś powiedzieć, że względu na to, że brat był w więzieniu wiadomo było, że nas wywiozą, dosłownie w przeddzień jeden z transportów odszedł z Brześcia, tych ludzi wywiezionych, a myśmy byli spakowani. Wszystko to było przygotowane, co można byłoby zabrać ze sobą, żeby to nas po prostu nie zastało nieprzygotowanych do tego. I gdyby nie wybuch ten wojny, to byśmy już wtedy znaleźli się na olbrzymich przestrzeniach Związku Radzieckiego. I teraz nastąpiła już nowa okupacja.

WK: Marysiu, zanim mi zaczniesz o tym opowiadać, opowiedz coś, co ty pamiętasz, czy słyszałaś tam na miejscu o tej słynnej rozreklamowanej obronie twierdzy przez żołnierzy radzieckich.

MFŻ: To znaczy, o ile sobie przypominam, a jako 9 letnie dziecko już jednak dość dużo pamiętam z tego.

WK: No to było już 11 letnie dziecko.

MFŻ: Nie, to była obrona twierdzy? Aha, tak, bo pierwsza była w 39 roku...

WK: Ja mówię o tej obronie...

MFŻ: A teraz następna, tak, już był 41 rok. Pamiętam tylko tyle, że Niemcy wkroczyli do miasta i nie starali się zdobyć za wszelką cenę twierdzy, tylko ruszyli dalej, oni się posuwali, a twierdza tylko była otoczona. Zresztą oni już byli tutaj na tym terenie u nas wszędzie, ci, co byli w twierdzy oni nie mieli absolutnie żadnych szans, żeby móc uciec, oni musieli się bronić, bo oni nie mieli innego wyjścia po prostu. Pamiętam, że były bombardowania tej twierdzy chyba jeszcze przez jakiś może tydzień, może nawet do dwóch tygodni, ale to były takie już sporadyczne jakieś tam działania wojenne, one właściwie nie zaważyły na tym wszystkim, co się działo.

WK: Ale było dużo wystrzałów, walka, coś przecież słychać?

MFŻ: To znaczy były właśnie początkowo naloty, bombardowano po prostu twierdzę, a potem wszystko już ucichło. I nie słyszeliśmy o jakimś tam nadzwyczajnym bohaterstwie. [1A, 00:30:00]

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_1B

MFŻ: W tej twierdzy, ale przecież twierdza w chwili obecnej to jest miastem bohaterem, jako taka. Rozreklamowane jest to wszystko, wszelkie ślady polskości są zniszczone i twierdza w ogóle nie przypomina już tej twierdzy, która była kiedyś.

WK: A czy widziałas ją po wojnie?

MFŻ: Widziałam ją w 73 roku. A ze względu na to, że jako dziecko często bywałam w twierdzy tam u tatusia, no to miałam z kolei skalę porównawczą, co było i co jest. Zresztą nie tylko twierdza została przebudowana, zniszczone wszelkie te ślady, przecież wszędzie są tylko te symbole sierp i młot, gwiazdy, a nie ma nic, co by świadczyło o tym, że to była Polska tam. To samo jest z dworcem kolejowym.

WK: Ta twierdza chyba była zbudowana jeszcze za czasów carskich.

MFŻ: Tak, to była przecież bardzo stara twierdza. Tym bardziej z tego, co tatuś potem opowiadał, że przecież ona była, dookoła były forty, sama twierdza była przecież w ujściu obu rzek Muchawca do Bugu, także otoczona była przecież wodą. I była piękna kiedyś. Ale było tam bardzo dużo podziemi, lochów. I tatuś mi właśnie opowiadał, że przez 3 dni się bronili i potem się właśnie tymi podziemnymi przejściami wydostali z twierdzy wtedy już, jak rozwiązano ich.

WK: Mówisz o 39?

MFŻ: O 39 roku, tak. Ale nikt o tej obronie w 39 roku nie powiedział, że to było bohaterstwo tych żołnierzy, tylko 41 rok był bohaterstwem. Między innymi z bratem wyszedł z więzienia jego kolega Wiśniowski Tadeusz. Rodzice jego byli, to znaczy przepraszam, matka z bratem została wywieziona na Syberię, a ojciec był aresztowany i co się z nim stało nie było już potem wiadomo. Ten właśnie Tadzik nie mając nikogo w mieście już ze swoich, mieszkał w barce na Muchawcu. Zbliżała się już jesień i były tam warunki straszne jednak dla człowieka po więzieniu, był on cały okryty wrzodami. I brat zawiadomił o tym mamę, ona poszła z nim tam nad rzekę i zabrała tego Tadzika do nas do domu, wyleczyła go z tych wrzodów i Tadzik został z nami, jako nasz przybrany brat.

WK: Marysiu, ale ty praktycznie nic nie powiedziałaś o warunkach więziennych, co to słyszałaś od brata, to co ci jest wiadome jeszcze za Sowietów.

MFŻ: To znaczy ich opowiadania, no to trudno mi powiedzieć, żeby ja pamiętała tak dobrze to, ja tylko pamiętam, jak oni strasznie wyglądali.

WK: Czy ich bito, głodzono, coś powiedz, co pamiętasz z opowieści.

[1B, 00:05:00]

MFŻ: Tak, opowiadali mi na przykład, słyszałam o tym, że jedną z tortur to było ustawianie w wodzie, oprócz tego unieruchamiano ich w ten sposób, że woda, która kapiała z góry kapiała

cały czas w jedno i to samo miejsce, przypuśćmy, czy na głowę, najczęściej na głowę. I to było bardzo męczące.

WK: To jest taka chińska tortura.

MFŻ: Tak. Z tym, że ja z kolei już w swoich doświadczeniach to w stosunku do siebie nie spotkałam tego. Także trudno mi powiedzieć, jak mogło być. Znam te karcery tego więzienia w podziemiach, w których potem już sama też siedziałam. Na pewno wyglądało to strasznie, tym bardziej, że przecież później miałam możliwość być właśnie w rękach bolszewików w więzieniu w takim samym, jak on był, ten mój brat w 41 roku. Tylko, że moje doświadczenia zaczynają się od 1948 roku, jak podrosłam trochę.

WK: To będziesz później mówić o tym.

MFŻ: Dobrze. Więc chłopcy w tym czasie, mój starszy brat Józik i Tadzik Wiśniowski pracowali w żegludze śródlądowej, jako marynarze dosłownie, młodszy brat pracował w tartaku. Jako dziecko nie za bardzo się orientowałam jeszcze w tych sprawach, wiem tylko, że chłopcy wyjeżdżali na jakąś akcję, jak się okazało była to akcja związana z odbiciem więźniów z więzienia Pińskiego.

WK: Marysiu, ale to już chyba dużo, dużo później?

MFŻ: To jest 43 rok.

WK: A co drugi?

MFŻ: Drugi i trzeci?

WK: No.

MFŻ: Drugi i trzeci rok to były łapanki, uliczne egzekucje.

WK: W Brześciu?

MFŻ: Tak, tak. Bo przecież już była okupacja niemiecka.

WK: Ale tego rodzaju imprezy raczej się kojarzy z dużymi miastami, a Brześć nie jest takim dużym miastem.

MFŻ: Brześć nie jest takim dużym miastem, ale Brześć to było przed wojną miasto wojewódzkie, to nie było małe miasto. Przecież przed wojną, przed 39 rokiem to było województwo, no więc musiało być duże. Ma się rozumieć, że nie można porównać z Warszawą i z tymi dużymi, bardzo dużymi miastami, ale było jednak duże, a szczególnie na terenach wschodnich, prawda? Tym bardziej, że to było miasto historyczne i ta Unia Brzeska, i te wszystkie inne sprawy. Tym bardziej, że było jednak sporo wojska, no bo była twierdza. Co jeszcze chciałam, troszeczkę mi przebiłeś, widzisz, wątek, ale zaraz sobie przypomnę, o czym to ja mówiłam.

WK: 43 akcja (nz).

MFŻ: A tak, tak. Jeżeli cię interesują jeszcze lata 42...

WK: Warunki życia, jakie były?

MFŻ: Warunki życia, szkoła, dobrze powiem i o tym. Warunki życia były bardzo ciężkie, chleb był na kartki i nieraz był to taki chleb, że trudno go było nazwać chlebem. Na kartki były również kości, bo mięsa się raczej nie dostawało. Pamiętam tylko to, że jeżeli mama mnie, jako najmłodszej dawała po kryjomu kawałeczek chleba z plasterkiem słoniny, to raczej dawała to tak, żeby starsze dzieci nie widziały. Nie dlatego, żeby może mieliby do mamy żal, ale żeby nie rozbudzać tego apetytu. Bo przecież u nas była bardzo liczna rodzina, nas było pięcioro dzieci, dwoje rodziców to siedmioro, sierotka Marysia Książek, która była zabrana jeszcze w 30, przepraszam chyba w 40 roku, jak dzieci mieli wywieźć w ogóle do sierocińców rosyjskich. To przecież każdy zabierał, kto tylko mógł to zabierał te dzieci, rozbierali wśród rodzin i do nas ona trafiła. No i właśnie Tadzik Wiśniowski, także było nas już 9 osób do wyżywienia.

WK: A czy masz w pamięcią i masz możliwość do dokonania porównania warunków życia za Sowietów w pierwszej okupacji i za Niemców? Wyżywienie, represje.

[1B, 00:10:00]

MFŻ: To znaczy i tu były represje i tu były. Tu było wywożenie na Syberię, a tu było wywożenie na roboty do Niemiec. Z tym, że oprócz tego, no to były jednak te uliczne egzekucje, których za Sowietów jednak nie było. A Niemcy wieszali w środku miasta ludzi i nie można było przecież zdjąć nawet tych trupów, tylko one musiały wisieć z tablicami tutaj na piersi przywieszonymi, na których był właśnie rodzaj ich winy wypisany. Ale warunki materialne były bardzo ciężkie. Pamiętam tylko, że mama nieraz to dosłownie jeździła gdzieś na wieś, sprzedawała jakieś rzeczy, jakieś ubrania za żywność. Ja się nieraz zastanawiałam i dziwiłam, jak ona mogła nas w ogóle wyżywić wtedy. Na przykład, w jaki sposób radziła sobie mama z tym, z koniecznością zdobycia chleba. Kupowało się zboże i mieliśmy taką maszynkę, trochę większą, no gdzieś taka dwa razy większa od normalnej maszynki do mielenia mięsa, prawda, i w tej maszynce każdy musiał porcję tego zboża zemleć. To był po prostu taki młynek, z którego wychodziła taka dość gruba, ale mąka. Także ja nawet też musiałam swoją porcję wykręcić, co dla mnie to nie było lekkie. Ale u nas, mimo tych ciężkich warunków materialnych było zawsze bardzo wesoło w domy, wszyscy nam zazdrościli, ale to okazało się tylko do czasu. W 43 roku po tej właśnie wyprawie do Pińska zaczęły się w Brześciu straszne aresztowania. To znaczy o tym dowiedziałam się już później, że był konfident, który po prostu sypnął wszystkich. Chłopcy czekali na dokumenty, miano ich przerzucić po prostu przez granicę tutaj za Bug po prostu, ale niestety niedoczekani się tego, zostali aresztowali w maju 43 roku. Pamiętam tylko, że starszy brat Józek z Tadzikiem Wiśniowskim poszli do kościoła na majowe

i już nie wrócili. Młodszy brat był na podwórku bez marynarki, tylko w samej koszuli, zabrali go z podwórka, nie pozwolili nawet wziąć marynarki. I pamiętam to wrażenie tej rewizji w mieszkaniu i widok tego Niemca, który był chyba jakimś oficerem, który dowodził całą tą grupą tych przeszukujących mieszkania, utkwiał mi tak strasznie w pamięci, że ja dosłownie jego twarz, jak przymknę oczy to jeszcze teraz widzę. Chłopcy zostali uwięzieni i nosiliśmy im paczki do więzienia, ze względu na to, że można było tylko jednemu jedną paczkę podawać, to chodziliśmy we troje, siostra Janka, ja i mamusia. I tak samo było w czerwcu, kiedy nieśliśmy paczki dla chłopców. Chciałam jeszcze zaznaczyć, że zwracano nam naczynia, w których się podawało i nieraz znalazło się jakiś gryps, ale od starszego brata tylko, on był po prostu już bardziej odporny, bardziej doświadczony, bo siedział w 41 roku już. A ten młodszy brat Tadzik to nawet nie miał jeszcze 18 lat, jak go aresztowali. I pamiętam menażkę, którą zwrócono właśnie od Tadzika, tego młodszego brata, na której wydrapane było „ratunku”.

[1B, 00:15:00]

Niestety nie mieliśmy żadnych zasobów walutowych, czy złota, czy jakichś dolarów, żeby można było próbować wykupienia chłopców. I właśnie wtedy w czerwcu, 22 czerwca przysłaliśmy z paczkami do więzienia i przyjęto paczkę tylko ode mnie, wpuszczono mnie do więzienia do jednego pomieszczenia, w którym mogłam zostawić tą paczkę dla tego młodszego brata. I pamiętam to wrażenie, jak zobaczyłam ten główny korytarz z tymi siatkami rozciągniętymi między poszczególnymi piętrami, nie przypuszczałam, że w tym więzieniu 5 lat później. Dla starszego brata i Tadzika Wiśniowskiego paczek nie przyjęto, jak się okazało większość więźniów politycznych zostało rozstrzelanych, z tym, że nigdy nie odnaleziono miejsca tej egzekucji. Jeszcze przez prawie 2 miesiące młodszy brat był w więzieniu, a potem i jego rozstrzelano, też miejsca nie ustalono. Pamiętam również, jak wtedy właśnie przyprowadziliśmy mamę spod więzienia, działały się tam dantejskie sceny, matki biły głowami w mur, wrywały sobie włosy z głowy, była straszliwa rozpacz. A mama moja nawet nie uroniła jednej łzy, tylko po prostu skamieniała. Przyprowadziłyśmy ją do domu, nigdy przy nas nie płakała, tylko nieraz w kościele gdzieś w kąteczku popłakała i znów przychodziła do domu i było wszystko w porządku. Jak się okazało i mama, i tato byli również członkami AK, ale o tym dowiedziałam się już tutaj w Polsce Ludowej.

WK: A za co aresztowano i zamordowano braci?

MFŻ: Za udział w tej akcji pińskiej. Z tym, że pamiętam, jak tutaj już w kraju przyjeżdżali Panowie do mojego taty i przysyłali nawet listy, w których prosili, żeby tatuś opisał wszystko o chłopcach. Czyli wszystkie dane dotyczące i tej akcji, i konspiracji, i za co zostali, jakie mieli pseudonimy, za co zostali rozstrzelani. Ale tatuś nie chciał w ogóle z nikim o tym rozmawiać,

powiedział tylko jedno, że im niepotrzebne już są medale, nagrodę oni już dostali w niebie. A tym bardziej, że to był czas, kiedy się jeszcze represje nie skończyły nawet u nas w kraju.

WK: Marysiu, czy to się wiąże z tą akcją odbicia więzienia w Pińsku, czy to jakaś inna sprawa?

MFŻ: To jest właśnie ta akcja.

WK: To wtedy doktora Wanię uwolniono.

MFŻ: Tak to była chyba akcja ta Ponurego.

WK: No właśnie.

MFŻ: Tak, to było to.

WK: A oni brali, jako siatka miejscowa udział?

MFŻ: Oni przecież należeli do tego AK.

WK: Ale to był Wachlarz, to był konkretnie...

MFŻ: Ja przecież nie mogłam wiedzieć o tych szczegółach, a przecież nie będę mówiła o tym, czego się dowiedziałam już później, prawda, z tych rzeczy publikowanych, bo przecież to była konspiracja i ja nie mogłam przecież wiedzieć.

WK: Ale to jest ta akcja odbicia więzienia pińskiego?

MFŻ: Ta akcja, tak jest, to jest ta akcja.

WK: To mi się wydawało, że to 42 rok.

MFŻ: Nie, to był 43 rok. To znaczy zlikwidowano ich, a sama akcja, o ile sobie przypominam to chyba była w okresie zimowym.

WK: Czyli przełom 42/43?

MFŻ: Chyba tak, trudno mi powiedzieć, jaki to był miesiąc.

WK: Bo w 43 bodajże Wachlarz już nie istniał.

MFŻ: Przecież oni byli wszyscy rozstrzelani właśnie w 43 roku.

WK: A co z tym kapusiem, skąd się dowiedzieliście, kto to jest, kto to był?

[1B, 00:20:00]

MFŻ: Też już raczej nie, ja nie wiedziałam wtedy, kto był tym kimś. Tylko potem przecież ustalono, bo była wydana chyba książka nawet o tej akcji. Ale to już niestety nie z moich własnych wiadomości. Jak rozstrzelali chłopców to sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Chciałam jeszcze powiedzieć, jak wyglądało w tym czasie szkolnictwo. Mogliśmy się uczyć tylko do programu klasy 4, bo już wyższych klas nie było, bo już one nie mogły być, bo albo trzeba było iść do pracy, albo wywożono do Niemiec na roboty. I pamiętam tylko, na co zresztą mam oryginalne świadectwo z tego okresu, że figurowaliśmy, jako klasa 4c, a przerabialiśmy program po prostu sposobem podziemnym program klasy 5.

WK: To jest zresztą w reprodukcjach zdjęć dokumentów.

MFŻ: Tak jest. Potem były bombardowania, bo zbliżał się front, a szczególnie przed 1 maja to już były bombardowania ze strony bolszewików. Byliśmy tak już do tego przyzwyczajeni i przygotowani, że dosłownie każdy miał przy swoim łóżku ubranie złożone w taki sposób, że jak tylko był alarm, to wystarczyło nawet niecałe 5 minut, a wszyscy byli w schronie. Mieliliśmy na podwórku schron, który był, to widocznie musiał być kiedyś jakiś ogrodnik właścicielem tego, bo był metalowy strop i dość gruba warstwa ziemi na wierzchu tego schronu, to była taka piwnica chyba raczej. Podzielona była na dwie części, jedna należała do nas, a druga połowa należała do pozostałych lokatorów i byli to Żydzi i Rosjanie. Proszę sobie wyobrazić, że jak się tylko zaczynało bombardowanie to oni nie szli do swojej połowy piwnicy, tylko wszyscy tutaj do nas przychodzili do naszej połowy i prosili, żebyśmy się modlili, bo wtedy oni się nie boją, że zginą.

WK: A czekaj, w 43, czy 44 już Żydów chyba dawno polikwidowano.

MFŻ: To znaczy zlikwidowano getto, zlikwidowano getto nawet wcześniej przecież, to nawet chyba 42 rok.

WK: Tak, to skąd ci Żydzi się wzięli? Bo Rosjanie to rozumiem, ale Żydzi?

MFŻ: To ja cie przepraszam, chyba ja już pomyliłam rok 44, jak przyszli, jak się, czekaj, czekaj, właśnie. To oni już byli w 44 roku, jak przyszli Sowieci, widzisz, ja już pomyliłam. Ale Rosjanie byli, a szczególnie kobiety, które już nie mogły, wiesz, wydostać się wtedy i musiały zostać. A jeszcze, co ci chciałam powiedzieć, że te bombardowania to się zaczęły już w 43 roku też, bo jeszcze chłopcy żyli, jeszcze nie byli aresztowani, jak były te bombardowania. A bombardowania były straszne, a szczególnie, jeżeli była ładna pogoda to można się było spodziewać, że będzie nalot.

WK: Nocne, czy dzienne?

MFŻ: Nocne naloty, nocne, oni nie urządzali wtedy dziennych nalotów, tylko nocne. Front zbliżał się coraz bardziej i mnie wywieziono z tą małą dziewczynką, co była u nas, z tą Marysią Książek na Siechowie. To byli koloniści polscy bardzo zamożni, to było gdzieś w odległości jakichś 30 kilometrów od miasta. Ze względu na to, że coraz częstsze były te bombardowania chcieli po prostu, żeby mnie nie było w mieście, żeby chociaż, no najmłodsze, co było, to ocalało.

[1B, 00:25:00]

Dlatego, że siostry to musiały pracować - moja siostra ta średnia, Janka pracowała od 14 lat, tylko ja jedna mogłam się uczyć i właściwie za to uczenie konspiracyjne tatuś płacił chlebem. A w jaki sposób zdobywał ten chleb? Ze względu na to, że uważał, że zajmowanie się handlem

w czasie okupacji było taką no sprawą trochę wstydliwą, nie to, że wstydliwą, tylko uważał, że niezbyt uczciwą i pracował, jako nocny stróż w piekarni. I pamiętam, jak miał takie szerokie spodnie i tutaj pod kolanem miał uczepony chleb i z tym chlebem przychodził od domu. I taki bochenek chleba przyniesiony przez ojca to był wielkim wsparciem z tym, że tym chlebem musiał też płacić, bo ci, co nas uczyli profesorowie, przecież oni też musieli z czegoś żyć. A wtedy pieniądź to nie miał znaczenia, jak była żywność na kartki. I byłam właśnie z tą Marysią na tej Siechieniewszczyźnie i pamiętam, że pewnej nocy było bombardowanie Brześcia, w każdym bądź razie, że z tej odległości 30 kilometrów słysząc było te detonacje i widać było to bombardowanie i te łuny. Rankiem z tych miejscowości zawsze do Brześcia jeździł taki robotniczy pociąg, taka ciuchcia i jak przyjechali z Brześcia i powiedzieli, że nasza ulica została zbombardowana. To ja po prostu następnego ranka uciekłam od tych Państwa, u których byłam, zostawiłam tą małą dziewczynkę tam u nich, wsiałam do tego pociągu i przyjechałam do Brześcia. Jak dochodziłam to tej naszej ulicy to mi się nogi ugiwały, bo nie wiedziałam, czy zastanę ich żywych. Cała przeciwna strona ulicy to były jedne gruzy i zgłiszczka, po naszej stronie ulicy stały jeszcze 4 domy, w tym ten dom, w którym mieszkaliśmy. To był dom murowany, więc tylko był pęknięty, nie było w ogóle szyb w oknach i gdzieś tak chyba z pół metra odniesiony był ten dach, poddarty, ale rodzice i rodzeństwo, siostry jeszcze żyły. Byli bardzo zdziwieni, jak ja mogłam sama przyjechać, a z kolei ja ich zaskoczyłam jeszcze tym, że powiedziałam, że ja tam nie pojedę, że ja chcę zostać z nimi bez względu na to, co będzie nas czekało i zostałam w mieście. I teraz zaczęły się bardzo częste naloty, po prostu były już nieraz, że pod rząd 2, 3 noce bombardowano i właśnie takie bombardowania już były przy mnie. Były one tak straszne, że siedzieliśmy już na dworze i widziałam, jak niosło głównie, dosłownie całe palące się głównie. Pamiętam, że w domu obok były jeszcze szyby, które się dosłownie od żaru tego topiły, że polewali wodą. Obok byli Czesi i Węgrzy i oni nam pomagali. Pamiętam tylko, że to były jakieś chyba pomocnicze wojska, ci Czesi i Węgrzy, bo na przykład mieli takie maszyny prądotwórcze, nie wiem, jak to się nazywa.

[1B, 00:30:00]

WK: Agregaty.

MFŻ: Agregaty, tak, pamiętam. I wtedy było te takie światło migало, ale było wtedy. I następnej nocy znów było takie straszne bombardowanie i była to niedziela, wzięliśmy każdy, kto mógł coś unieść w rękę...

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_2A

MFŻ: I nasi sąsiedzi z tego domu również, współlokatorzy poszliśmy do kościoła, byliśmy jeszcze na mszy świętej i stamtąd już piechotą poszliśmy na tą Siechieniewszczyznę ze względu

na to, że były i małe dzieci no to na zmianę nieśliśmy ich na plecach. Przeszliśmy w tym dniu 15 kilometrów, wtedy starsza siostra ze swoim przyszłym mężem poszli, całą noc szli, doszli do tej Siechieniewszczyzny i stamtąd przysłano po nas bus i zawieziono już na miejsce. I tam byliśmy przez cały czas, pamiętam był to okres dojrzewania zbóż i pamiętam również, że z jednej strony tej osady były batalie niemieckie, a z drugiej już następujących Sowieców. Mieliśmy wykopane takie rowy, podobne do rowów strzeleckich, takim zygzakiem. Ale pod wpływem tego...

WK: Ale z jakimś daszkiem?

MFŻ: To znaczy raczej i niezadaszone jeszcze. Z tym, że one były dość głęboko wykopane. Ale żeśmy się tak już osłuchali tego ostrzału, żeśmy przestali po prostu, a szczególnie dzieci, byliśmy bardzo ciekawe, ciągle się chciało wiedzieć, co tam się jednak dzieje. I pamiętam również, jak Niemcy się wycofywali, zabierali mężczyzn ze sobą, zabrali wszystkie konie, zabrali młodzież, a myśmy ze strachu weszli na drzewa. I pamiętam, że z nami była Sowietka jedna, która z nimi przeżyła w naszym tym domu przez całą tą okupację niemiecką. Proszę sobie wyobrazić, że wleźć ze strachu to żeśmy wleźli, ale potem był problem, żeby nas pozdejmować z tych drzew, a szczególnie właśnie tą Sowietkę. Ta Sowietka miała na imię Wiera i przezabawnie wyglądało zdjęcie ją z tego drzewa, bo ona była dość taka korpulentna, bo my tam dzieciaki to jeszcze szybciej zlazłyśmy z tych drzew. Ale, co jeszcze Niemcy zrobili, pozabierali te wszystkie konie, a bydło rozstrzelali, nie zostało w tej całej osadzie wśród tych bogatych kolonistów ani jednej żywej krowy. Wtedy z tego mięsa wołowego zrobiono kiełbasy. A czemu o tym mówię? Bo jak tylko przeszedł front, bo właśnie po tym fakcie ucieczki na te drzewa następnego dnia rano już przyszli pierwsi żołnierze sowieccy, byli głodni, więc co, kto miał to po prostu karmiono ich, bo przecież wtedy to oni nas wyzwali od tego drugiego wroga. Mieszkaliśmy na tej Siechieniewszczyźnie w stodole, bo było nas kilkanaście osób. I tutaj teraz powstał problem, trzeba było pójść na pola, żeby sprzątnąć zboże, bo ono przecież było już tak dojrzałe, że jak się go nie zdjęło to się mogło zmarnować. I pamiętam ten fakt, jak tatuś z tym gospodarzem, który był bardzo wysoki kosili, a nas za nimi dwoma pięcioro musiało podbierać.

[2A, 00:05:00]

Z tym, że no nie mieliśmy takiego doświadczenia, nigdy nie mieszkaliśmy na wsi. Z tym, że tatuś po powrocie z niewoli niemieckiej to umiał dosłownie wszystko robić. I wtedy pamiętam, że były kawałki zboża wypalone, Niemcy podpalali torebki z prochem, żeby wzniecić pożar, żeby w ogóle spalić to zboże, ale wypalało się gdzieś jakieś 6 metrów kwadratowych i dalej się nie paliło, po prostu nie udało im się to. Pamiętam również fakt, jak zwoziliśmy już te snopki z pola do stodoły. Był to parokonny wóz załadowany, jak to się mówi, do samego wierzchu,

my szliśmy za tym wozem i trzeba trafić, że na skrzyżowaniu dróg w środku osady, jak się okazało nie wszystkie miny zostały znalezione. Koń nastąpił na minę, oba konie zostały rozerwane na strzępy, a nam się nie stało absolutnie nic, bo byliśmy z tyłu wozu. I pamiętam taki sam przypadek z samochodem wojskowym, to był taki ten niewielki polowy wojskowy samochód.

WK: Łazik, gazik, czy coś takiego.

MFŻ: Tak, też wpadł na minę z ludźmi tam znajdujących się nikt nie został żywy, a dosłownie kawałki ciał to aż na drzewa pozarzucało, tak silny był wybuch. I teraz front się posuwał coraz dalej, od przejścia frontu minęło dwa tygodnie. Trzeba było komuś iść do miasta do Brześcia, żeby zobaczyć, czy jest do czegoś wracać. Ze względu na to, że ja byłam swoim charakterem jakaś taka, byłam bardziej chyba chłopcem niż dziewczynką, bo pamiętam w dzieciństwie dla moich lalek gotowała i szła moja siostra, a ja z braćmi chodziłam na wojnę. I tutaj, jak trzeba było iść do tego Brześcia, to ja powiedziałam, że ja pójdę. Miałam wtedy już 14 lat, już przecież byłam doświadczona. I z tą właśnie Rosjanką we dwie poszliśmy te 30 kilometrów i dano nam właśnie na drogę tej wołowej kiełbasy, bo chleba niestety nie było. Były wszędzie jeszcze te zwłoki tych, szczególnie tych zwierząt wzdęto to leżało, rozbite czołgi. Bardzo świeże były te wszystkie ślady przejścia tego frontu, most na rzece był spalony, także musieliśmy wpław przechodzić przez ten most. Ale cały dzień padał deszcz, także te 30 kilometrów o dziwo zrobiliśmy w ciągu 4 godzin. Przyszliśmy do miasta, dom nasz stał, był troszkę porozbijany, ale stał, można było jednak w nim znów zamieszkać. Ale, co jeszcze zrobiliśmy w tym dniu, z rozbitych domów naciągaliśmy cały chlewek desek różnych, drzewa, wiedząc o tym, że to przecież będzie konieczne do palenia. Potem leżeliśmy trzy dni, bo miałyśmy popuchnięte nogi i znów zaszła konieczność, że jedna z nas musiała wracać, żeby pójść i zawiadomić ich, ja zostałam w mieście sama ze swoją kozą Baską. Przez cały tydzień byłam sama, po tygodniu przyszedł tatuś, został ze mną, a jeszcze za tydzień wozem przywieźli pozostałych rodziców. Najcięższe były noce, bo nocami były alarmy.

[2A, 00:10:00]

Już nie było takich bombardowań, ale jeszcze były różne niespodzianki. Zresztą miasto było prawie puste, nie było, co jeść. Chodziło się po ogrodach i szukało, czy przypadkiem gdzieś jakiegoś kartofla się nie uda zdobyć. Ale miałam ze sobą tą swoją kozę Baską, jak były alarmy ona była tak strasznie przestraszona, że kładłyśmy się na ziemi obie, ona się do mnie przytulała i drżała. Ale po alarmach Baśka skubała resztki trawki i miałam tego trochę mleczka i tam przeżyłam i doczekałam się powrotu rodziców. I znów była następna ta okupacja i znów była zmiana programu szkolnego, zmiana języków w szkole uczonych.

WK: Czy obywatelstwo narzucono sowieckie?

MFŻ: Obywatelstwo sowieckie narzucono już w 39 roku. Uważali, że automatycznie ci, co pozostali po tej stronie granicy są obywatelami Związku Radzieckiego, nikt się o zgodę nie pytał. I tutaj następuje dalszy ciąg naszej epopei. Mieliśmy polską szkołę, mieliśmy jeszcze otwarte kościoły, jeszcze było sporo Polaków tych, których nie zdążyli wywieźć na Syberię Sowieci i na robotę do Niemiec Niemcy. Więc szkoła była czynna, z tym, że wiadomo było, że nie mogło im się podobać obecność młodzieży, która jest według nich wrogo do nich nastawiona, a trudno było, żeby nie była nastawiona wrogo. Dlatego, że jeżeli przychodzili do szkoły i mówili nam, że pochodzimy z małpy, to myśmy się z nich śmieli w żywe oczy. Jeżeli potrafili nam mówić, że żadnego Boga nie ma, bo przecież widzicie, poproście go, żeby wam dał cukierków, niestety, a poproście Stalina, naszego wodza, to będziecie mieli cukierki, i rzucali te cukierki, po które żadne dziecko nie sięgało w polskiej szkole. Oprócz tego wielką ostoją dla młodzieży polskiej byli kapłani, szczególnie mieliśmy w tym naszym głównym kościele dekanalnym w Brześciu kapłana, który bardzo przypominał księdza Jerzego Popiełuszkę w swojej działalności. On był dla nas wielkim autorytetem, młodzież tak go kochała, że gdyby trzeba było, to chyba do Buga byśmy wskoczyli za nim.

WK: Czy pamiętasz jego nazwisko?

MFŻ: Tak, pamiętam doskonale ksiądz Jerzy Rosiak.

WK: Jest na tych zdjęciach twoich.

MFŻ: Jest na moich zdjęciach, tak, jest na zdjęciach sprzed okresu porwania go i potem po powrocie z obozów. Więc oni postanowili po prostu, że oni się z nami rozprawią, tym bardziej, że to jest miasto graniczne i oni muszą ten element po prostu zlikwidować w mieście. A zlikwidować to, w jaki sposób można? Trzeba się rozprawić z inteligencją. Księdza Jerzego... Przepraszam, jeszcze powrócę do pierwszej sprawy, do sprawy naszej polskiej szkoły. Jak wiadomo musieliśmy brać udział w pochodach, czy pierwszomajowych, czy na rocznicę rewolucji październikowej.

[2A, 00:15:00]

I trzeba trafić, że nasza szkoła w czasie pochodu pierwszomajowego w 47 roku przeszła koło trybuny nie krzycząc *ura* to było powodem, że nasza szkołę polską zamknięto. W tym też roku porwano księdza Jerzego Rosiaka, wszelkie poszukiwania po wszystkich oddziałach milicji i w NKWD i MGB nie dały żadnych rezultatów, tylko na granicy, to znaczy nad rzeką Bugiem podrzucono sutannę i twierdzili, że on widocznie uciekł za Bug. Tymczasem został on wywieziony do najcięższych obozów radzieckich do Norylska i wrócił z obozu dopiero w 56 roku. Więc teraz, jak nie było kapłana, to można było zamknąć kościół, co też zrobili.

WK: Ten kościół, którego zdjęcia załączyłaś?

MFŻ: Tak, tak, załączone są zdjęcia tego kościoła. Był to piękny kościół, cały w polichromii, obecnie jest tam muzeum, jest tam wewnątrz zupełnie przerobione, zdjęte są wieże, w ogóle zmieniony jest bardzo, a był to najpiękniejszy kościół w Brześciu. Po zlikwidowaniu już szkoły i kościoła teraz zaczęto myśleć, w jaki sposób nas upłynnić z tego terenu.

WK: Marysiu, ale to chyba nie był jedyny kościół i nie jedyny ksiądz.

MFŻ: Były w Brześciu 3 kościoły, to znaczy właściwie dla kościoły i kaplica na Kijówce. Ona kościoły zostały zamknięte, została tylko kaplica, która była czynna cały czas, to znaczy nawet do chwili obecnej jest czynna. Z tym, że nie było kapłanów, był tylko w okolicy jeden jedyny ksiądz, który nie był aresztowany z nami, ksiądz Grzybowski w Czarnawczycach. I on nieraz dojeżdżał tam do Brześcia i odprawiał, a jak nie mógł dojechać, no więc ludzie się modlili sami, kapłanów nie było. Więc teraz jak zamknęli nam tą szkołę polską, musieliśmy iść dalej uczyć się do rosyjskich szkół i wtedy wstąpiłam do technikum muzycznego w Brześciu, gdzie jednocześnie uczyłam się w klasie 9 i muzyki się uczyłam, byłam w klasie dyrygentury. Wszyscy w rodzinie śpiewali to było po prostu, no wrodzone zdolności miałam, śpiewali wszyscy w chórze.

WK: Ale nie bardzo sobie wyobrażam technikum dyrygentury.

MFŻ: To znaczy były tam wszystkie przedmioty muzyczne, teoria muzyki solfeż, to znaczy śpiewanie z nut, pisanie danego utworu ze słuchu, fortepian, lekcje dyrygentury, teorii muzyki. Wszystkie przedmioty muzyczne były i był dość wysoki poziom. Tym bardziej, że ja bardzo kochałam muzykę i chciałam się uczyć z tym, że nie miałam instrumentu w domu, nie miałam ani pianina, ani fortepianu, ale uczyłam się z takim zapalem, że w przeciągu pierwszego roku robiłam program dwóch lat. I uczyłam się ze swoją serdeczną przyjaciółką Talą Odyńską,

[2A, 00:20:00]

która potem dzieliła wspólnie los ze mną.

WK: Ale Marysiu między wami była przecież różnica spora wieku, dość istotna w tym przedziale wiekowym.

MFŻ: To znaczy Tala była o 3 lata starsza ode mnie, była rówieśnicą mojej siostry i właściwie w szkole średniej to się uczyła z moją siostrą. Ale po zamknięciu średniej szkoły ona też przysłała do tego technikum, bo ona miała już skończoną dziesięciolatkę. Bo jeżeli ja miałam skończone w polskiej szkole 8 lat, to mi zostało 2 lata, a ona przecież była o 3 lata starsza. Także ona tylko tyle, że nie musiała już uczyć się tych przedmiotów ogólnokształcących z zakresu średniej szkoły, a ja jednocześnie robiłam 9 klasę. Więc uczyliśmy się, młodzieży polskiej było nas kilkoro i o dziwo uczyliśmy się bardzo dobrze, nie było powodów, żeby

można się było do nas ucześć z tytułu nauki. Ale no wiadomo było, że przecież mamy światopogląd zupełnie inny, że nam się nie podobało to, co się działo, że nam się nie podobało wszystko to, co było później nazwane okresem stalinowskim. My byliśmy przecież wychowani zupełnie w innych warunkach, nie podobała się nam okupacja niemiecka, ale i nie odpowiadała nam okupacja radziecka. Tym bardziej wiadomo było, czego oni mogą nas nauczyć, historia w ich wydaniu, no to przecież była tylko fałszem i obłudą, a myśmy jeszcze pamiętali czasy przedwojenne, szczególnie starsza młodzież. I tutaj z kolei był bardzo poważny zarzut, dyrektor szkoły, który był Żydem ciągle nam robił zarzuty, że jak my możemy śpiewać w chórze kościelnym, jednocześnie uczyć się w szkole, w tym technikum muzycznym, że przecież oni nie będą szykowali kadr do chóru kościelnego. I wtedy ja poprosiłam księdza, żeby mi dał zaświadczenie, od ilu lat ja jestem członkiem chóru kościelnego, a członkiem oficjalnym chóru byłam od 14 lat, a już miałam przecież 17 lat, czyli już 3 lata śpiewałam w chórze kościelnym. I mówię: *Panie dyrektorze, raczej kościół Panu szykuje kadry*. Bo przecież myśmy wszyscy śpiewali w chórze.

WK: Marysiu, mam tu pytanie, mówiłaś, że was było parę osób Polaków...

MFŻ: W tym technikum.

WK: W tym technikum. To czy ilość Polaków w Brześciu się tak gwałtownie zmniejszyła i kto wobec tego napłynął?

MFŻ: Nie, po prostu nie wszyscy poszli do tej szkoły, przecież były inne szkoły rosyjskie w mieście. Jeżeli ktoś nie miał zdolności muzycznych, to nie szedł do technikum, tylko do innych szkół.

WK: Ale przed wojną przecież przewagę stanowili Polacy brześciową.

MFŻ: Tak, z tym, że nie zapominaj o tym, że w czasie pierwszej okupacji radzieckiej masa ludności polskiej została wywieziona na Syberie, w czasie okupacji niemieckiej masa było i rozstrzelanych, wywiezionych do obozów koncentracyjnych i wywiezionych na roboty do Niemiec. Z kolei z chwilą trzeciej okupacji już, a powtórnej radzieckiej, przecież część ludzi repatriowało się do kraju, także nas tam nie zostało już tak wiele.

WK: I kto napływał, Białorusini, Rosjanie?

MFŻ: Białorusini, Rosjanie, Żydzi, a Żydzi jeszcze właśnie już radzieccy, bo tamci byli zlikwidowani. Ale teraz znów razem z frontem to przecież ci, co nas później sądzili i sędzia, i prokurator to byli Żydzi.

[2A, 00:25:00]

W technikum muzycznym był dyrektorem Żyd i wykładowcami jeszcze kilku przedmiotów byli też Żydzi i Żydówki.

WK: Czy to było zachwianie proporcji w stosunku do ludności polskiej i żydowskiej? No, bo mówisz, że tak gęsto były te nazwiska, czy tam osoby żydowskie.

MFŻ: Po prostu oni zajmowali zawsze jakieś takie lepsze stanowiska.

WK: Eksponowane.

MFŻ: Tak, tak. Tym bardziej, że było tak nie tylko w szkołach i w technikach, ale i we władzach, i we władzach śledczych, i w milicji, i wszędzie. I dyrektorami to najczęściej też byli Żydzi, bo to byli ludzie wykształceni niestety i umieli rządzić właśnie nimi też. I jednocześnie w tym czasie tych takich już częściowo represji w stosunku do młodzieży polskiej, jasne, że myśmy się starali bronić, czym, samokształceniem w tych przedmiotach, których nie mieliśmy już teraz w szkole. Historia, bo przecież byliśmy jeszcze w posiadaniu książek, które w rodzinach pozostawały po starszym rodzeństwie, prawda? Korzystaliśmy z tego. Jednocześnie zawiązała się znów konspiracja, a młodzież jak zwykle jest zawsze odważna i beztroska. Myśmy po prostu nie zdawali sobie sprawy z tego, że nasz światopogląd może nam grozić takimi konsekwencjami, jakie były.

WK: Marysiu, czy to była w jakiś sensie spadek i kontynuacja po konspiracji starszych, czy to było samorodne wśród młodzieży?

MFŻ: To znaczy było i takie, i takie. Spadek po starszych to była w ogóle dążność do tego.

WK: Tradycje, wzorce, ale czy to były również pewne sposoby?

MFŻ: Tradycje rodzinne. To znaczy wśród naszych rodziców raczej nie, oni byli raczej doświadczeni, przecież tak na przykład, jak moich rodziców, nikt ich nie odkrył, to znaczy nikt ich nie zdradził w tym sensie, żeby oni byli aresztowani, a przecież byli w AK. I właśnie już po powrocie do kraju, kiedy pytałam się nieraz rodziców, czemu nam nigdy nie powiedzieli o swojej działalności, o swojej przynależności do AK, to wtedy mi mamusia odpowiadała: *Moje dziecko, czy ty wyobrażasz sobie, że nasza konspiracja to mogła być taka jak wasza, dzieci, których wybrano dosłownie, co do sztuki?* I tak było istotnie, znalazł się taki wojskowy, który się podawał za oficera, że jest przerzucony po prostu na te tereny, że AK nadal istnieje i zawiązało się znów AK.

WK: Ale czy to było prowokator, czy to był, kto to był?

MFŻ: Wtedy ja nie wiedziałam, kto to był, bo istniała konspiracja...

WK: Ale już teraz wiesz?

MFŻ: Przecież mogłam znać tylko kilka osób. To był oficer polski, który przeszedł szlak do Berlina, potem, czemu od wrócił na tamte tereny trudno mi powiedzieć, czy miał faktycznie takie zadanie, czy sobie coś uzurpował, trudno mi o tym powiedzieć.

WK: Ale znasz jego nazwisko?

MFŻ: Wolałabym o tym nie mówić.

WK: Nie, nie, to jest prawda historyczna, nie ma, co tu owijać w bawełnę.

MFŻ: Ty wiesz, że ja nie pamiętam jego nazwiska, wiem, że miał na imię Józef, ale nazwiska nie pamiętam. W każdym bądź razie zaprzysiężono nas...

WK: Ale w imieniu, kogo i jakiej organizacji?

MFŻ: AK.

WK: AK już nie istniało.

MFŻ: Ale w jego pojęciu tak.

[2A, 00:30:00]

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_2B

MFŻ: W każdym bądź razie, wiesz, nie powiem z całą pewnością, jak oni to nazywali, to minęło tyle lat, zresztą mówię ci, że można było tylko 3 osoby znać.

WK: System trójkowy tak zwany.

MFŻ: Tak, system trójkowy. Także znałam tego, kto mnie zwerbował, kto był obecny przy przysiędze, tylko właściwie te kilka osób. A o wszystkim to się już dowiedziałam po areszcie, jak zobaczyłam dosłownie z tego boksu, w którym siedziałam w MGB, jak była szpara w drzwiach, jak przyprowadzali kolejnych kolegów, jak się okazało to większość nas w tym była.

WK: Krótko mówiąc była wtyczka.

MFŻ: Tak, tak.

WK: Wiadomo, kto?

MFŻ: Nie, to znaczy uważasz, że była wtyczka wśród nas? Nie?

WK: Czyli nieostrożność i wsypa.

MFŻ: Po prostu nieostrożność i wsypa. Dlatego, że to i to nawet nie była wsypa w Brześciu tylko w Kobryniu. Między chłopcami należącymi właśnie do tej naszej konspiracji był jakiś zatarg i doszło między nimi po prostu do użycia broni.

WK: (nz).

MFŻ: I potem, jak jeden drugiego ranił, rozumiesz, to tamten wydał po prostu. A oprócz tego, to jest teraz nie do pomyślenia, żeby mieć wszystkie spisy, nazwiska, pseudonimy, całą dokumentację. Cała dokumentacja wpadła im w ręce, nie wiem, czy ten z tej zemsty to wydał, w każdym bądź razie nas wybrali dzieciaków ze szkół.

WK: Głupiutkich dzieciaków.

MFŻ: Tak, to znaczy jeszcze i naiwnych, którzy nie mieli doświadczenia takiego. I wyobraź sobie w 48 roku to była dla nich doskonała okazja, żeby się nas pozbyć. Zrobili proces, proces dosłownie, to znaczy pokazowy, ale w tym sensie, że to nie było przy drzwiach otwartych,

nikogo nie dopuścili, bo sądził nas Trybunał Wojskowy. I nam, nastolatkom, a najmłodsi wśród nas to byli, mieli po 15 lat nawet, dano po 25 lat wyroku. Pamiętam również w ostatnim słowie, które każdy miał prawo wypowiedzieć po ogłoszeniu wyroku, ja nie prosiłam ani o jakąś litość, o zmniejszenie wyroku, tylko prosiłam o umożliwienie zobaczenia się z rodzicami, nawet tego nam nie dano. Dano nam adwokatów, którzy nas tak bronili, że myśmy dostali po 25 lat. Oprócz tego dali adwokatów z urzędu i potem obciążono rodziców bardzo wysokimi sumami do zapłacenia za tą obronę. Jeszcze chciałam ci powiedzieć, w jaki sposób wyglądało aresztowanie. Przyszło tych Panów aż trzech do domu.

[2B, 00:05:00]

A trzeba trafić, że w przeddzień aresztu stałyśmy z siostrą w kolejce po mydło i po prostu w tej kolejce ja się przeziębiam, bo to wiele godzin trzeba było stać. A to było tak atrakcyjne, bo to brak przecież było tych rzeczy, że stałyśmy dość długo po te mydło. I w następnym dniu mama postawiła mi bańki i jak po mnie przyszli ja byłam właśnie po tych bańkach i leżąca. W domu fakt przyjscia po mnie był takim zaskoczeniem, nigdy rodzice nie przypuszczali, że ja mogę być w ogóle w cośkolwiek zamieszana. Po przeprowadzeniu rewizji w czasie, której zabrano dokumenty, które są też ujęte w protokole z rewizji, który przedkładałam. Tam są wymienione dokumenty, które były zabrane, pasport, metryka urodzenia, legitymacja studencka, to nieszczęsne zaświadczenie o udziale moim w chórze przy kościele katolickim w języku polskim. Potem różna korespondencja, listy, pocztówki i czyste blankiety z pieczęcią miejskiego szpitala. Zabrano również pewną ilość medykamentów zarzucając mi, że to wszystko było przygotowywaniem do walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu. A te czyste blankiety, żeby kogoś umieścić w szpitalu z tych działań i lekarstwa były przecież potrzebne, żeby w razie, czego oddziałom dostarczać. Czyli zrobili z nas tak strasznych zbrodniarzy, że aż należało nam dać po te 25 lat. Przyszło ich trzech i zabrano mnie ze sobą, zabrano tylko w samej sukience, powiedzieli, że żadnych rzeczy mi nie potrzeba, bo tylko, bo ja wrócę, potrzebna im jestem tylko do pewnych, do załatwienia pewnych spraw, a nie powiedzieli, że te sprawy będą tak wyglądały. Przyprowadzili do MGB i zaczęło się śledztwo, śledczych było 5, zmieniali się, a śledztwo trwało bez przerwy. Największym szokiem było dla mnie to, że wyrażali się, a szczególnie jeden z nich, najokropniejszymi przekleństwami na mnie. U nas w domu się nikt nigdy nie wyrażał, po prostu nie byłam do tego ani przyzwyczajona, ani się z tym jeszcze nie osłuchałam. I myślałam sobie, Boże, jak to może być, że oni tak wyrażają się, klą na mnie i na nich się nie zawali sufit, przecież, jakie oni mają ku temu prawo? Ale potem się okazało, że mają jeszcze więcej praw, śledztwo trwało bez przerwy dzień i noc.

WK: Marysiu, czy te przekleństwa były (nz), czy jedną z metod szokowania?

MFŻ: Nie, to było jedną z metod, bo z kolei z przekleństwami, które były już takim normalnym językiem, to ja się już zetknęłam w więzieniach i w obozach, gdzie po prostu to uchodziło za normalny język, że co drugie, trzecie słowo to był tak zwany *mat*.

WK: Nie, chodzi o śledztwo.

MFŻ: A w czasie śledztwa to była metoda po prostu, że zmieszali człowieka z błotem dosłownie, że poniżono godność ludzką, zresztą o tym dowiesz się w późniejszej mojej opowieści. Wreszcie zamknięto mnie do boksu, to była piwnica betonowa, w której nie było absolutnie żadnego okienka, tylko była szpara w drzwiach.

[2B, 00:10:00]

WK: To było w ogóle to samo więzienie, które znałaś z przynoszenia paczek do brata?

MFŻ: To jeszcze nie było więzienie, to było MGB, a do więzienia trafiłam kilka dni później.

WK: To było tak zwane (*nz*)?

MFŻ: Tak to jest w tym Urzędzie Bezpieczeństwa. I tam właśnie przez tą szparę miałam możliwość widzenia tych wszystkich kolegów, którzy kolejno aresztowali, czy przywozili tam w MGB. Z tym, że już wtedy, kiedy nie było wolnych cel i tych wolnych boksów, wtedy mnie przywieźli do więzienia. Z tym, że jakie mi dano jedzenie, pierwsze jedzenie właśnie tam w tym boksie, przyniesiono zupełną, ja ci nawet nie mogę powiedzieć, jak ona wyglądała, to były kartofle z obierzynami i ości rybne, i to było tak cuchnące strasznie, że ja mimo głodu nie mogłam tego jeść. I tylko się modliłam i prosiłam, żeby zabrali to z tego boksu, bo on był tak malusieńki, że ja po prostu się dusiłam, ja nie miałam tam powietrza. A oprócz tego ja przecież byłam po tych bańkach i to śledztwo było bez przerwy, byłam głodna i osłabiona, a tam tylko był beton. Więc kładłam się w tej letniej sukieneczce na betonie ze zmęczenia już i zaczęłam strasznie kaszleć, i prosiłam, żeby mi dali, chociaż coś pościeli, czy jakiejś deski, a oni mi mówili, jakie ja mam w stosunku do nich wymagania, że taki faszysta, jak ja i taki przestępca jeszcze chce deski od nich. To wtedy pokazałam im swoje plecy i chyba to ich częściowo wzruszyło, że są czarne po tych bańkach, dali mi dwie deski, na których ja się położyłam tam w tym boksie. Po kilku dniach przewieziono mnie do więzienia, a wieziono mnie jednocześnie z małym 9 letnim chłopcem Rosjaninem, którego pytałam, za co siedzi, w ogóle, czy jest skazany. Powiedział, że tak, że dostał 7 lat wyroku za to, że ukradł chleb. I tak trafiłam do tego właśnie naszego brzeskiego więzienia, w którym byłam w 43 roku po raz pierwszy z tą paczką. Siedziałam sama w dużej celi, były tam straszliwe pluskwy, a z kolei ja nie miałam żadnego innego ubrania tylko tą jedną sukieneczkę i nic nie przyjmowali w czasie śledztwa absolutnie żadnych paczek. Jeszcze w dzień to jakoś można sobie było z tym poradzić, ale noce były okropne, ta cała masa tych pluskiew rzucała się dosłownie na człowieka. Oprócz tego śledztwa

przeprowadzane były przeważnie w nocy, a jeszcze mieli taki sposób bycia strażnicy więzienni, że po tej kamiennej posadzce więziennej, po tych korytarzach w pewnym momencie rzucał cały pęk kluczy, to było takie echo, że dosłownie wszystko od razu skakało na nogi z tych nar, czy z tych łóżek. Każde otwarcie drzwi i słowa: *Kto na f wychadi-* powodowało taką reakcję, dosłownie skurcz żołądka i momentalnie trzeba było lecieć na (nz). A jeszcze przecież nie za bardzo czekali na to, żeby się człowiek mógł ubrać normalnie, tylko *wychadi*. I oprócz tego nie brano mnie do szpitala więziennego, ja się czułam coraz gorzej, jednym słowem, że w bardzo szybkim czasie zachorowałam już na gruźlicę płuc.

[2B, 00:15:00]

Śledztwo trwało, aresztowano mnie 29 lipca, a nasza rozprawa zaczęła się 17 września i trwała do 20 września. Nieraz z tych śledztw to wracałam tak, że nie widziałam przed sobą drogi, ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie bito. Koleżanki były bite, nie wiem, czy wyglądałam tak żałośnie, czy tak smarkato jeszcze, że po prostu nie bito mnie. Znęcano się za to w inny sposób, na przykład jedną z pewnego rodzaju tortur było sadzanie na stołku takim, że się nie dostawało nogami do podłogi, po wielogodzinnym takim siedzeniu nogi puchły. Albo stawiano, trzeba było unosić ręce do góry, wyrażano się w okropny sposób, grożono, że przeze mnie, jeżeli się nie przyznam, aresztują rodziców i to mnie właśnie najbardziej dobijało. Bo jednocześnie z moim śledztwem z tej sprawy ogólnej, miałam drugie śledztwo dotyczące mojego tatusia, cały czas przekonywano go, że on przeze mnie siedzi, że ja jestem temu winna, pokazywano mi nawet zeznania z jego podpisem. Okazało się, że one były fabrykowane, bo mój tatuś został aresztowany dopiero rok po moim areszcie. I śledztwa te, które dotyczyły tylko mnie znosiłam, można powiedzieć, mężnie, ale te, co dotyczyły mojego taty to dobijały mnie strasznie. Do tego stopnia, że po naszej rozprawie sądowej i po umieszczeniu mnie już razem z moimi koleżankami w jednej celi tam, gdzie siedzieli wszyscy, co mieli po 25 lat, siedzieliśmy w pojedynczej celi we 3. I ja już byłam tak chora, że leżałam w celi. I tak trwało do 23 grudnia, że cały czas byliśmy jeszcze w tym brzeskim więzieniu. Wypuszczano nas na nieraz 15-20 minut na tak zwaną *progulkę* na takie niewielkie podwórka z bardzo wysokimi murami, w których chodziło się dookoła, w kółeczko dosłownie jeden za drugim, ręce przeważnie trzeba było trzymać do tyłu. Ale w sąsiednich podwórkach przecież chodzili również nasi, bo nas było dużo aresztowanych i osadzonych, między innymi był ksiądz Horodeński Józef. Więc żeby dać znać, że on tam jest, albo, że wie, że my jesteśmy tutaj, to dosłownie urządzał, śpiewał, chodząc śpiewał. A wyglądało to tak: *Tala, Tala, Tala i Marysia też*. No więc myśmy podobnie mu odpowiadały z tym, że starałyśmy się to robić w ten sposób, żeby ten strażnik, który chodził tam u góry, żeby po prostu nie ukarał nas za to. A byliśmy przecież takie młode, nieraz jakieś

tam ćwiczenia gimnastyczne próbowałyśmy jeszcze robić, jak było troszeczkę jeszcze ciepłej na dworze. Z tym, że sytuacja uległa poprawie, w jakim sensie, że zaczęłyśmy dostawać już po wyroku paczki żywnościowe i paczki z ubraniem od rodziców. A ze względu na to, że koleżanka moja siedziała razem ze mną, właśnie ta Tala Odyńska, nasze matki porozumiały się i jeden dzień jedna przynosiła nam paczkę, na następny dzień druga matka przynosiła paczkę.

[2B, 00:20:00]

I potem przechodziły na drugą stronę więzienia, tutaj od strony rzeki Muchawca, także jeżeli się wchodziło na okno, które było umieszczone już ponad otaczającym murem na wysokości troszeczkę większej, to można było, myśmy widziały ich, a oni mogli nas zobaczyć tylko, jeżeli się przez kratę przesunęło rękę. Ale z kolei to powodowało, że jeden raz krzyknęłam do matki kolegi, że on jest tutaj w więzieniu i za to dostałam 3 doby karceru. Na czym to polegało? Karcer to była piwnica cała betonowa, przedzielona przez środek jeszcze żelazną kratą. W pierwszej części karceru zostawiało się rzeczy, a jeżeli miało się jakieś jedzenie to potrafili nawet to jedzenie wystawić, żeby było widoczne, otwierano tą kratę i wchodziło się do drugiej połowy.

WK: Co to znaczy rzeczy, rozbierałaś się?

MFŻ: Nie, nie, to znaczy trzeba było idąc do karceru zabierać wszystkie swoje rzeczy, bo nie było żadnej pewności, że do tej celi się wróci. Czyli ten worek z tymi swoimi majątkami całymi, z ubraniem.

WK: Czyli komenda brzmiała (nz).

MFŻ: Tak, tak (nz) i wyprowadzano do karceru. Po drugiej stronie tej, w której się siedziało był tylko betonowy taki stołek, który był przybetonowany do podłogi, taka kolumnienka dosłownie. Ze względu na to, że nie było jeszcze uruchomione centralne ogrzewanie, a ja byłam tylko w tej swojej lekkiej sukience i siedziałam tam właśnie te 3 doby, to jeszcze bardziej się przeziębiałam i to po prostu nakładało się jedno na drugie, że ta choroba moja się pogłębiała. Oprócz tego okieneczko to u samej góry było wybite, na czym polegało karmienie w karcerze? Przynoszono, dostawało się 30 deko chleba i przynoszono wrzątek w aluminiowej misce, w miseczce. To było tak gorące, a trzeba było wypić w szybkim czasie, że rzadko kiedy udawało się wypić trochę, bo człowiek się parzył dosłownie. Obok mnie w sąsiednich tych boksach, karcerach siedzieli kryminaliści, którzy się strasznie wyrażali. Ja ciągle prosiłam ich o to, żeby się nie wyrażali, to oni odpowiadali, że oni nie na mnie się wyrażają i jeżeli ja będę śpiewała, to oni nie będą się wyrażali. No więc ja śpiewałam i polskie i rosyjskie piosenki, i te właśnie z tego swojego technikum muzycznego, to była wtedy faktycznie cisza. Ale jak ja kończyłam śpiewać, to zaczynały się ich rozmowy, a wyglądały one w ten sposób, że co drugie, trzecie

słowo to było właśnie słowo *mat*. Żeby udowodnić mi, że oni do mnie nic nie mają to nawet mi na sznureczku przerzucili dwa ząbki czosnku, a czosnek to było przecież bogactwo.

WK: (nz).

MFŻ: Tak. I wreszcie trzeciego dnia przychodzi jeden z *nadziracielei*, a ja sobie właśnie śpiewałam jakoś tak, że w trakcie tego mojego śpiewu mnie zastał i mówi: *Ty tutaj sobie śpiewasz, a twoja matka 3 dni siedzi pod więzieniem i płacze*. A faktycznie to był miesiąc wrzesień i były imieniny mojej mamy, jak nie przyjęli paczki, to ona wiedziała, że już się coś stało, bardzo możliwe, że tam przesiadywała pod tym więzieniem, To na mnie zrobiło takie wrażenie, że ja, która przez te 3 dni starałam się nie płakać i jakoś utrzymać się w kondycji, modlić się dosłownie i myśleć o czymś innym, rozplakałam się tak strasznie, że on mnie kilka godzin wcześniej wypuścił z tego karceru, przyprowadził z powrotem do celi.

[2B, 00:25:00]

Później mieliśmy też taki przypadek, że koleżanki ojciec przyszedł z jej malutkim bratem Arturem, który miał wtedy ze 4 latka i ona weszła na to okno i jak zobaczyła tego ojca z tym braciszkiem to dostała dosłownie jakiegoś szoku, myśmy ją nie mogły oderwać od tych krat i zaczęła krzyczeć do nich. I wtedy ma się rozumieć strażnik więzienny nas złapał i dostaliśmy tak zwany *karcerny reżym* na całą celę, objęło to nas wszystkie 3. A ze względu na to, że nie było miejsc w karcerach w podziemiach, to zostawiono nas w celi z tym, że nie dawano nam właśnie tego jedzenia już, ale to jeszcze było łatwiejsze do wytrzymania. I jeszcze jeden raz siedziałam z tą swoją przyjaciółką Talą Odyńską w karcerze już w miesiącu grudniu. W czasie pobytu w tym więzieniu robiłyśmy różańce ze względu na to, że bardzo w sąsiednich celach siedziało dużo naszych kolegów i siedzieli księża, i właśnie ten nasz ksiądz Horodeński. A z czego robiliśmy? Jak dostawałyśmy chleb to żeśmy sobie, mając te paczki z domu, mogły pozwolić na to, żeby część tego chleba uczyć na robienie tych różańców. Moja mamusia przemyciła mi igłę w walonku. A nici robiłyśmy z bandaża, który wyprosiłyśmy u siostry, która robiła obchód, a że ja byłam chora, no więc zawsze się coś tam wymyśliło i dała nam kawałek bandaża i z tego bandaża kręciło się te nici. I robiłyśmy właśnie te różańce. Nie pamiętam już w tej chwili, za co żeśmy popadły do tego karceru w każdym bądź razie zabrano nas obie z rzeczami do karceru. Z tym, że jeszcze była tak zwana *parasza*, tak zwany kibel w tej drugiej części, gdzie siedziałyśmy już za tą kratą. I w tej *paraszy* była obręcz obłuzowana i myśmy tą obręcz zerwały, rozgięły, a ja jednak byłam bardzo szczupła i miałam długie ręce. Przesadziłam sobie tą obręcz przez kratę, tą obręczą zahaczyłam za jakąś miseczkę, w której było jedzenie i myśmy sobie to przeciągnęły przez kratę i schowały coś do jedzenia tutaj za ten drążek betonowy. Także już nie byłyśmy takie strasznie głodne, a resztę wszystko się odepchnęło, nie

było widać. I siedziałyśmy sobie w najlepsze i z kawałka chleba robiłyśmy różańce tam w tym karcercie, bo to już była zmiana tych strażników i to był okres taki, kiedy mniej nas podglądano.

WK: Ale skąd chleb?

MFŻ: No więc przeciągnęłyśmy z tej drugiej części tego karcercu tam, gdzie były te nasze worki i było to jedzenie. A to była krata taka, że można było przesunąć rękę tylko bez tej obręczy nie dostałabym do tego. I proszę sobie wyobrazić, otwierają się drzwi i przychodzi strażnik, ale strażnik znajomy tej koleżanki rodziców i mówi: *Wychodźcie z rzeczami*. Otworzył nam te drzwi i widocznie się zorientował, że my nie jesteśmy czyste z tej drugiej strony i zostawił nam te drzwi i wyszedł. Myśmy w tym momencie wszystko z tej drugiej części to jedzenie, które mieliśmy schowane przeniosłyśmy tutaj do tej pierwszej części i to, co myśmy robiły, te paciorki z chleba

[2B, 00:30:00]

i tą igłę wszystko żeśmy schowały.

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_3A

MFŻ: I przyprowadzają nas do celi dużej, ale już nie do tej, w której byłyśmy poprzednio. Okazało się, że szykowali nas do etapu. Teraz jeszcze chciałam powiedzieć o jednej rzeczy, jak straszne były warunki moralne w więzieniu. Miałymy tak zwaną banię, czyli wyprowadzano nas do łaźni, co pewien czas i jaki był straszny szok podczas pierwszego naszego pobytu w tej bani. Kazano nam się rozebrać do naga, mogłyśmy wziąć ze sobą tylko ręcznik, wszystkie rzeczy z celi też trzeba było zabierać ze sobą i one były oddawane do tak zwanej próżarki ze względu na to, żeby jeżeli są wszy, czy jakieś inne jak to się mówiło *nasiekomie* ta wysoka temperatura mogła je zabić. Z tym że jeżeli mieliśmy wełniane jakieś rzeczy to one się niszczyły, nieraz już potem się nie nadawały już do noszenia, jeżeli była bardzo wysoka temperatura. I proszę sobie wyobrazić, że jak już kazali nam się rozebrać, dali te ręczniki tylko do wzięcia, otwierają się drzwi, wchodzimy do tej łaźni, a tam była obsługa męska. Był to dla nas straszny szok, po prostu nie wiedziałyśmy, jak się osłonić tym ręcznikiem, który miałyśmy w ręku. Dostawało się taki drewniany, jak to można nazwać, takie naczynie drewniane nie duże, w które nalewali wodę i w tym jednym, w tej ilości wody musiałyśmy się umyć, mogłyśmy sobie coś przeprać. Z tym że trzeba było bardzo oszczędzać, w tym się wymyć i jednocześnie, jeżeli się udało coś przemycić z takich rzeczy z bielizny naszej to wtedy w tym wyprać. A mydło jak wyglądało, to było takie rzadkie mydło, brali taką łopatką i tak maznęli tutaj gdzieś po ramieniu i to było wszystko, i w tym trzeba było i głowę umyć i samemu się umyć. Więc pierwszy rok był właśnie tak strasznie ciężki przez to, że musieliśmy przyzwyczaić się do tych

warunków, po prostu je zaakceptować, jeżeli chcieliśmy przeżyć, bo buntowanie się niestety nie odnosiło żadnego rezultatu.

WK: Oczywiście żadnych sanitarnych środków nie dostawaliście?

MFŻ: Nie. Dostawaliśmy na przykład dwa razy dziennie herbatę, to znaczy, to była woda przegotowana, zafarbowana kawą. No więc jak dostawaliśmy w ten kubeczek tej kawy, to mogliśmy, albo ją wypić, albo się nią umyć, albo coś w tej ilości przeprać. I okazuje się, że w takiej małej ilości można się wymyć. Człowiek musiał sobie na wszelkie sposoby radzić. I tutaj właśnie z tej celi, z której zbierano nas na etap, prowadzono nas też kolejny raz do tej łaźni. Ale przed wpuszczeniem do pomieszczenia, w którym była łaźnia wpuszczono nas jeszcze przed tym do pokoiku. I proszę sobie wyobrazić nowe zaskoczenie i nowy szok, mężczyzna z maszynką do golenia, żeby nas ogolić we wszelkich miejscach, gdzie rosną włosy.

WK: Na głowie też?

[3A, 00:05:00]

MFŻ: Głowy pozostawiono, bo głowy to można było sobie tam, czy czesać grzebieniem przysłanym z domu, czy jedna drugiej po prostu wyszukiwać i bić.

WK: Chyba to się nazywało *sanabrobotka*.

MFŻ: *Sanabrobotka* tak. I proszę sobie wyobrazić, że tutaj to myśmy już nie ustąpiły, było nas 3 Polki, myśmy podniosły tam taki wrzask, jakby nas torturowano, albo wymordowano całą rodzinę. Całe więzienie, a to było olbrzymie więzienie aż szło echo...

WK: Zawiadomiliście.

MFŻ: Tak, stanęło dosłownie na nogi. I oni niestety nic nam nie zrobili wtedy. I aż przeprowadzili tą *sanaprobotkę* w więzieniu w Moskwie i oddali nam niewiastę do tego. W miesiącu grudniu rodzice nasi pełnili dyżury pod więzieniem, żeby po prostu chwycić moment wywożenia nas i tak się też stało. W noc z 23 na 24 grudnia wyprowadzono nas z więzienia, było nas około 30 osób, w tym z naszej sprawy było nas 6, 3 dziewczynki, 3 chłopców. Pogoda była straszna, ślizgawica i zadymka śnieżna. Ze względu na to, że ja byłam bardzo słaba fizycznie i przedtem już leżałam w celi, chłopcy nasi nieśli moje rzeczy, a ja szłam między koleżankami i trzymałam się, chodziło o to, żeby moja mama nie spostrzegła tego w jakim ja jestem stanie. Mama szła od latarni do latarni chodnikiem i nie wołała, nie krzyczała, żadnych gestów nie robiła, tylko widziałam, że się modli, a nas prowadzili otoczonych żołnierzami z psami na smyczach. Przyprowadzono nas w pobliże dworca, weszliśmy na most, wtedy rodziców już zatrzymali, dalej nie pozwolono im iść. Dopiero wtedy, kiedy sprowadzono nas do pociągu, mama stanęła na środku mostu, przeżegnała nas krzyżem i to było ostatnie moje widzenie się z mamą. Nie pozwolono również przekazać nam, czy jedzenia, czy jakichś rzeczy.

Załadowano nas do pociągu pasażerskiego, tylko do specjalnego więziennego wagonu, każdy przedział to była swego rodzaju cela z kratami i *kormuszką* po środku. Było nas dużo osób w takim przedziale, jednocześnie było piętro na którym też były więźniarki. A ze względu na to, że byliśmy ze swoimi bagażami, ze swoimi rzeczami, to było bardzo ciasno i gorąco, szczególnie na górze. Do toalety wypuszczano nas dwa razy dziennie, rano i wieczorem. I obchodzenie się konwojów z nami było bardzo różne, byli tacy, którzy wyżywali się na więźniach właśnie w tym momencie. Przecież, jak pociąg biegnie szybko to trzęsie i człowiek nie może iść równo i szybko tym korytarzem, tym bardziej, jeżeli wypuszczają z przedziału, w którym jest się ściśniętym. Mieliśmy nawet taki przypadek, że pewien więzień prosił o wypuszczenie go do ubikacji.

[3A, 00:10:00]

Konwój się nie zgodził na to i wtedy po prostu załatwił swoje potrzeby fizjologiczne do butów i wyszedł później na śnieg boso. Ale były też i odruchy ludzkiego traktowania nas. W pierwszy dzień świąt staliśmy na bocznicy w Mińsku, oficer dyżurny naszego wagonu więziennego przyszedł do naszego przedziału i prosił: *Śpiewajcie dziewczynki*. A myśmy śpiewały kolędy. Postawił również czujkę, który go zawiadamiał, że gdyby się ktoś zbliżał z niepowołanych, to on mu da znać. Później dowieziono nas do Moskwy i umieszczono w więzieniu *Krasnaja Priesnia* tam byliśmy około miesiąca. Pierwsza cela, do której trafiłyśmy była pełna niewiast z tym, że bardzo duża ilość była kryminalistek. Po raz pierwszy zetknęłam się w tej celi z hermafrodytami, z kobietami z tatuażem we wszystkich dostępnych miejscach ciała. Pobyt z nimi groził tym, że zabiorą nam i rzeczy, i jedzenie, a gdybyśmy nie chciały się na to zgodzić to mogły i pokaleczyć nas, o tym zawiadomiły nas inne więźniarki polityczne, które były w tej celi. Wtedy zaczęłyśmy stukać do drzwi i stukałyśmy do tej pory aż nas zabrano z tej celi do celi więźniów politycznych. Ze względu na brak miejsca na narach spałyśmy pod narami, a w wąskim przejściu były tylko nasze głowy, spałyśmy na posadzce betonowej. Z więzienia w Moskwie przewieziono nas etapem do Kirowa i w Kirowie musiałyśmy odbyć kwarantannę ze względu na to, że koleżanka nasza Zosia Teleman zachorowała na szkarlatynę. Potem mnie samą wysłano etapem z katorżankami i kryminalistkami na Workutę. Nie mogę się skarżyć na to, że się ze mną źle obchodzili, otaczały mnie nawet swoją opieką ze względu na to, że byłam chora. Ale po przyjeździe na Workutę po prostu odchodząc na katorgę zabrały moje jedzenie w czasie, kiedy ja byłam w łaźni, a czemu byłam? Bo dostałyśmy świerzb w czasie etapu, więc trzeba się było smarować mazidłem takim i potem iść do łaźni. Więc one wykorzystały ten moment, wzięły moje jedzenie, bo dostałam w Kirowie paczkę, zostawiły mi tylko kawałek słoniny, pojechały na katorgę. Stamtąd przysłały mi pozdrowienia i karteczkę, że

za moje zdrowie zrobiły tam ucztę i życzą mi wszystkiego najlepszego. Nie mogłam czuć do nich żalu, tym bardziej, że były to więźniarki, które nie otrzymały żadnej pomocy, nie miały żadnych paczek. Tak się skończyły moje kontakty z katorżnikami. Na Workucie stosowano również oznaczenia na rękawach malowano literę rosyjską R, jako oznaczenie obozu reżimowego.

[3A, 00:15:00]

Bo poprzednio byłyśmy w obozie razem z mężczyznami i ze wszystkimi kryminalistami, to było dla nas bardzo ciężkie.

WK: To chyba ITŁ tak zwane.

MFŻ: Tak (nz). I dlatego byłyśmy raczej zadowolone, jak nam wprowadzono obozy reżimowe, w których już nie było w obozie mężczyzn i mała ilość była więźniów kryminalnych. Wtedy nie musiałyśmy słuchać tych wiecznych przekleństw, mimo że warunki mieliśmy cięższe pod względem dyscypliny. Na Workucie mieszkaliśmy w barakach. Co było jeszcze ciekawego? Było to już za kręgiem polarnym, więc była zorza polarna, wyglądało to pięknie, tylko że podziwianie tego było dość ciężkie przy wysokich, raczej przy silnych mrozach, bo przecież tam prozy było poniżej 40 stopni. Nie było tam w ogóle żadnych drzew, były tylko jakieś maciupeńkie takie krzaczki, jak jagodnik coś w tym rodzaju i mchy. Jak również była tam wieczna zmarzlina. W pierwszym okresie trudno nam było się do tego przyzwyczaić, do białych nocy. Zima kończyła się gdzieś w miesiącu maju, szybko topniały śniegi, dzień robił się coraz dłuższy i wreszcie słońko prawie w ogóle nie zachodziło. Przewędrowało przez nieboskłon, szło równiutko nad horyzontem i znów wędrowało do góry, także właściwie nie wiadomo było, kiedy jest noc, a kiedy jest dzień, bo był przez 24 godziny. Ale do wszystkiego się trzeba było przyzwyczaić. W początkach miesiąca września zaczynał padać śnieg i zaczynała się zima, tym samym skracał się coraz bardziej dzień, a wydłużała noc, tak zwana ta noc polarna. Dzień wyglądał w ten sposób, że po prostu był to taki brzask, który trwał krótko. Obóz nasz znajdował się między kolejowymi torami, ze względu na silne purgi, śnieżyce, które zawały tory musieliśmy po prostu odkopywać te tory, żeby mogły przyjeżdżać pociągi, była to jedyna droga prowadząca na północ.

WK: Tak zwana (nz) chyba?

MFŻ: Tak, z tym że zasy te śnieżne były bardzo duże, głębokości do kilku metrów dochodziły. W czasie tych purg wiatr był tak silny i dosłownie nie było widać nic za tym śniegiem, że jeżeli brygady nie zdążyły wrócić do obozu, to były przypadki, że dopiero na wiosnę znaleziono trupy już. Nawet w obrębie samego obozu w czasie śnieżycy tej nieraz posługiwano się sznurami, za które się trzymano, bo jeżeli nie trzymano się tego, to bywały

wypadki, że można było już nie trafić do swojego baraku, były z tym wielkie trudności. Do pracy szliśmy bez względu na pogodę, tylko wtedy, kiedy dochodziła temperatura do 40 stopni nie wyprowadzano nas poza obóz. Na czym jeszcze polegała nasza praca? Na wyładunku wagonów z węglem, z drzewem, z wielkimi balami, z kamieniami i z wielkimi głazami, które musieliśmy wyładowywać.

[3A, 00:20:00]

Ze względu na to, że nie było tam drzew wszystko przywożono. Nie było również żadnych upraw za wyjątkiem tak zwanego turnepsu, to było coś w rodzaju rzepy. W okresie lata północnego mogło rosnąć tylko to, co miało krótki okres wegetacji, bo nic innego nie mogło rosnąć tam. Kartofli nie widzieliśmy tam w ogóle, kartofle przysyłano tylko dla obsługi obozów, dla żołnierzy i dla wolnych. A nam nieraz dawano coś w rodzaju kartofli, to znaczy to były kartofle suszone i jak się ugotowało, to przypominało taki ciemnobrązowy klej. Bardzo żeśmy tęskniły właśnie za kartoflami, ale niestety dopiero po 7 latach pierwszy raz w Kazachstanie już jadłam kartofle. Teraz wracając jeszcze do żywności, karmiono nas przeważnie owsem, owsiana była zupa i kasza była owsiana, nie był ten owies dobrze oczyszczony, także trzeba było ciągle wypłukać łuskę, dlatego też nazywaliśmy to jedzenie żuj-pluj. Była również kasza trochę przypominająca naszą jaglaną kaszę, z tym że o zupełnie innym smaku. Bywało nieraz, że dawali nam kawałeczki mięsa, z tym że było to mięso jelenie, bo tylko takie raczej było dostępne tam w zapolariu.

WK: To znaczy reniferów raczej.

MFŻ: Tak, reniferów. Nawet jeden raz mieliśmy mięso z wieloryba z tym, że było ono takie bardzo tłuste, przypominało dosłownie słoninę, nie każdy mógł to jeść i wtedy zrobiono nas z tego kotlety, które były naprawdę bardzo smaczne. Ze względu na brak witamin w pożywieniu, które nam dawano i na panujące i szkorbut, i cynęgę, kazano nam przed posiłkiem, a szczególnie przed obiadem wypijać chochlę wywaru choinkowego. Było to bardzo niesmaczne, ale konieczne. Mimo nawet picia tego wywaru wiele osób chorowało na uzębienie. Z tym, że nie zawsze to odnosiło pożądany skutek picie tego, ale jak można było się od tego wykręcić, po prostu się nie dostawało wtedy jedzenia, a bez jedzenia to przy takich mrozach i przy tak ciężkiej pracy po prostu traciło się siły. Trafiąco się wtedy do szpitala, gdzie starano się troszeczkę odkarmić, bo siła robocza była potrzebna. W ogóle chciałam zaznaczyć, że różnica między obozami niemieckimi, a radzieckimi była tylko w tym, że w radzieckich nie było krematoriów. Tam zależało im na tym, żeby człowieka wyeksploatować przy ciężkiej pracy, żeby ten socjalizm i komunizm zbudować właśnie naszymi rękoma. Nieraz słyszeliśmy, jak mówili, że komsomolcy wyjeżdżają na budowy, budują miasta, a tymczasem byli to

komsomolcy z numerami na plecach. Tak było na całej północy i nie tylko na północy, prawie w całym Związku Radzieckim, gdzie była masa tych obozów. Jak jechałyśmy na północ to był obóz przy obozie. Co jeszcze mogłabym o tym powiedzieć?

[3A, 00:25:00]

WK: Może Marysiu byś scharakteryzowała bliżej sprawy świata *blatnych*, świata przestępczego i tych wszystkich spraw związanych z nimi.

MFŻ: Pobyt z nimi w jednym obozie był bardzo ciężki. Pamiętam, że w początkowym okresie jak podchodził etap do zony, czyli do obozu, to tam stało już pełno mężczyzn i od razu sobie mówili: *Ta będzie moją żoną* – po prostu, kto im się podobał. Jeszcze było co, że potrafili przegrać w karty, mogli nawet zabić, jak się założyli o to i głowę zanieść na wachtę do dyżurnych. Ale później wprowadzono za zabójstwo karę śmierci i wtedy skończyło się to, a szczególnie jeszcze, gdy oddzielono nas do tych obozów reżimowych. Nieraz się stykałam z nimi i każde zetknięcie się z nimi było bardzo ciężkie. Pamiętam takie przypadki, że jeżeli któraś zaczynała, jak to się nazywało tam, kręcić z kimś, na przykład *blatnoj* sobie wyznaczył mnie na swoją żonę, ja się na to nie zgadzam i jeżeli nie używam sobie z kimś innym to on mnie nie ruszy. Ale jeżeli pozwoliłabym sobie na tak zwane kręcenie z innym mężczyzną, no to wtedy mogą mnie zabić. Pamiętam w jednym ze szpitali, właściwie to był (nz)był jeden z przywódców tych *blatnych*, któremu po prostu podobałam się. Ale nigdy mnie nie skrzywdził, prosił mnie, żebym mu śpiewała, żebym mu coś opowiadała, tylko jak był etap, a on nie chciał wyjechać z tego (nz) to sobie przeciął brzuch, pokaleczył się sądząc, że go zostawią, ja się strasznie tego bałam, żeby on nie został. Jednak zabrali go, zrobili mu opatrunki, zabrali go do innego obozu. Jeszcze będąc na Workucie pracowałam przez pewien okres w żłobku dziecięcym, gdzie były dzieci więźniarek. Była to dość duża sala, pracowało nas dwie w tej sali, z jednej strony sali było 19 łóżeczek i z drugiej też tyle samo. Dzieci były od 2 tygodni do roczku. Pracowałam w nocnej zmianie przez 12 godzin. Zaczynałam przewijać te dzieci od 1, dochodziłam do 19 i znów trzeba było zaczynać na nowo. Więźniarki przychodziły tylko do karmienia dzieci. Ze względu na słaby stan zdrowia mego w krótkim czasie zaczęły mi puchnąć nogi i wreszcie z tego żłobka trafiłam już do szpitala obozowego. W tym szpitalu obozowym leżałam na gruźlicę i jednocześnie w czasie pobytu tam zachorowałam na chorobę, którą trudno mi nazwać, to były ataki podobne do malarii. Dostawałam strasznych dreszczy, bardzo wysoką temperaturę i absolutnie nie przyjmowałam żadnych leków, dlatego że wszelkie leki, które dawano mi doustnie momentalnie zwracałam, organizm nie przyjmował. Tylko utrzymywano mnie przy życiu na zastrzykach domięśniowych.

[3A, 00:30:00]

Ze względu na to, że nie było szans bym mogła wyjść z tej choroby nie ogolono mi głowy, żeby po prostu...

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_3B

MFŻ: Żeby po prostu mnie już nie denerwować, żebym się nie domyślała, że jestem raczej już skazana na śmierć. I pamiętam jedną noc, kiedy czułam, że umieram i bardzo przeżywałam, że tam na północy nie rosną drzewa, nie ma ptaków, nie przyjdzie tam na moją mogiłę mama. I jeszcze jeden był powód, dlaczego nie chciałam umierać, że przecież nic jeszcze nie zrobiłam dobrego, co by mogło po mnie zostać, a szczególnie zostać w pamięci ludzi. Okazało się, że była to noc kryzysu, lekarka, która mieszkała za zoną obozu, czyli za obszarem obozu, bo była wolną, odchodząc wieczorem z obozu uprzedziła pielęgniarki, że tej nocy ja nie przeżyję, jeżeli będę ciężko konała, to żeby ją wezwali do obozu, a jeżeli lekko to żeby nawet jej nie zawiadamiali. Noc tę przeżyłam i następnego dnia zbliża się godzina ataku i raptem ataku nie ma. Leżałam dość długo, uczono mnie później chodzić, bo nie umiałam chodzić. Wytrzymałam tylko dlatego, że byłam młoda i miałam jeszcze przed chorobą dość zdrowe serce, po chorobie niestety już nie. Po wyjściu ze szpitala byłam w brygadzie inwalidzkiej ze starszami i ze wszystkimi bardzo słabymi ludźmi, z niewiastami. Bo rozpiętość wieku była bardzo duża w obozie, od kilkunastolatków do 70 i 80-latków. Nieraz te stare niewiasty śmiały się mówiąc, że mają 25 lat wyroku, no więc mają zagwarantowane jeszcze tyle życia, no bo przecież muszą odbyć ten swój wyrok. W tej inwalidzkiej brygadzie, w tym baraku było bardzo dużo szczurów, w ogóle mieliśmy taki okres, że te szczury chodziły dosłownie stadami. Kradły nam wszystko, listy, pończochy, mydło, już nie mówiąc o jakimkolwiek jedzeniu. Swoje worki z rzeczami wieszaliśmy na sznurkach, dosłownie prawie u sufitu, żeby one nie mogły się tam dostać, ale to były bardzo cyrkowe szczury. Na narach zakrywałyśmy się z głowami, dlatego że one dosłownie po nas biegały. Ja przeważnie tym starszom przynosiłam kolację, brałam kubeczki, szłam do stołówki i przynosiłam, i one nie musiały wtedy dreptać tam. Za to one mi rano przynosiły śniadanie, żebym mogła sobie dłużej pospać. I pewnego razu miałam taki przypadek siedziałam i jadłam z kubeczka przyniesione przez nich śniadanie, a te szczury były tak do nas przyzwyczajone, że bezczelnie sobie siedział przede mną i patrzył się na mnie. Zdenerwowałam się i kopnęłam szczura, i na rano z moich kapci przysłanych mi przez mamę zostały tylko podeszwy, zjadły wszystko, zemściły się w ten sposób.

[3B, 00:05:00]

No, więc radzono nam, żeby się pozbyć szczurów, że trzeba szczura złapać, oślepić i potem go podpalić i on będzie uciekał i wszystkie szczury za nim polecą. I zaczęło się polowanie w tym baraku na szczura, te stare niewiasty udawały tych myśliwych, było wiele różnych takich

śmiesznych sytuacji, ale już nawet nie pamiętam, czy udało nam się szczura tego złapać. A niektórzy mówili również, że albo można jeszcze inaczej, złapać szczura, nasypać mu soli na ogon i rzekomo też wszystkie szczury za nim pójdą. Była to plaga w całym obozie, więc co zrobiono, jednego dnia nie dano nam przydziałów chleba, założono trutki w naszym chlebie i wytruto po prostu te szczury. Oprócz szczurów to żyłyśmy na co dzień z pluskwami, wszami, pchłami i w jaki sposób starano się to zlikwidować, a szczególnie w okresie tego lata północnego, że musiałyśmy wynosić rano nasze nary do olbrzymiego kotła, w którym była wrząca woda i tam się zanurzało te nary. Potem one cały dzień stały tam, a wieczorem przychodząc z pracy zabierałyśmy swoje nary i kładłyśmy się na nie, następnego ranka historia znów się powtarzała. I tak było przez dość długi okres i w pewnym stopniu udało się ograniczyć ilość tych, szczególnie pluskiew i wszy. No musiałyśmy nieraz spać w ten sposób, że włożyłyśmy do siennika do środka, jedna drugiej zawiązywała tutaj przy szyi, żeby chociaż nie gryzły w ciało. W obozie były również tak zwane monaszki, czyli zakonnice Rosjanki. Z tym, że pod wpływem prześladowań i wiary, i w ogóle prawa ich do wyznawania tego Boga, dochodziło do pewnych takich nawet zboczeń. Na czym to polegało? One uważały władze obozowe za szatanów, nie przyjmowały ubrania więziennego. Były przypadki, że pędzono je nago po obozie chcąc w ten sposób zmusić je do przyjęcia ubrania, ale one nie dały się do tego zmusić. Były przechowywane raczej w ziemiance i pamiętam, że pewnego razu wracając z nocnej zmiany do baraku usłyszałam przepiękny śpiew, dosłownie śpiew podobny do muzyki organowej. A to one modliły się i śpiewały na głos. Jeszcze miałam taki przypadek, że jedna z nich, młodziutka dziewczyna leżała ze mną w szpitalu. A wtedy właśnie wyszło takie rozporządzenie, że za posiadanie przez więźnia noża dopisywano 1 rok wyroku, jeżeli się znalazło u niego i trzeba było po prostu na tym się podpisać, że jesteście o tym zawiadomione. Tak chora dziewczynka nie chciała tego podpisać, a była w bardzo ciężkim stanie, wtedy (nz) dosłownie założył jej kajdanki, ale tak zwane kajdanki uciskowe, które przy najmniejszym ruchu jeszcze bardziej się zaciskały i wtedy jej ręką podpisał w tych kajdankach swoimi dłońmi dosłownie. Potem więźniarka ta zmarła. Zresztą sprawy wiary były bardzo ważne w obozie.

[3B, 00:10:00]

To nam pozwalało przetrwać i inne narodowości szczególnie Rosjanki i te, które nigdy się nie zetknęły z wiarą w Związek Radziecki bardzo nam zazdrościły właśnie tego, zazdrościły nam tej wiary. Bo mimo ciężkich warunków było nam o wiele łatwiej znieść to. Nieraz przysłuchiwały się, jak się modlimy, chciały być chociaż blisko nas wtedy, jak urządałyśmy jakieś święta, czy Boże Narodzenie, czy Wielkanoc, nawet w tych ciężkich warunkach starałyśmy się, żeby czymś te dni się wyróżniały od tych dni naszych szarych obozowych codziennych. Na przykład,

jeżeli nam dawano coś w rodzaju kaszy i do tego na wierzch wlewano taką miareczkę jak naparstek oleju, to myśmy podstawiały jakieś pudełeczko, czy jakiś słoiczek, żeby zbierać ten olej na naszą wigilię. I oszczędzałyśmy w ten sposób, że rybę dano nam przypuśćmy nawet dwa dni przedtem też zostawiałyśmy na wigilię. Było również jeszcze takie niepisane prawo obozowe, a odnosiło się ono do przydziałowej pajki chleba. Była to w obozie rzecz święta, można było wszystko ukraść więźniowi, ubranie, jedzenie przysłane w paczce, ale nie można było ukraść tej przydziałowej więziennej pajki chleba, bo za to groziła po prostu śmierć, samosąd więźniów.

WK: A *blatnoje* nie odbierali więźniom, tym frajerom tak zwanym?

MFŻ: To znaczy ja w obozie tym, gdzie byłam nie znam takiego przypadku, żeby kradli tą podstawową pajkę chleba.

WK: A nie było napadów w czasie niesienia tacy z chlebem dla brygady na przykład?

MFŻ: Nie, dlatego że przecież to było w stołówkach rozdawane.

WK: A, bo ty byłaś już etapie stołówek.

MFŻ: Tak, ja byłam na etapie stołówek i wtedy tego nie było. Ale z kolei było to, że jak się dostało paczkę mogli ją ukraść, zabrać, dosłownie zabrać i nie miałeś prawa się skarżyć, dlatego że wtedy mogli jeszcze i pobić, czy okaleczyć. Pobudkę mieliśmy w obozie o godzinie 5, z obozy się wychodziło o godzinie 6, za każdym razem była rewizja. Po wyjściu z obozu była komenda (*nz*), czyli żeśmy szli piątkami trzymając się pod rękę i jeszcze były słowa, że krok w prawo, czy krok w lewo uważam za ucieczkę i używam broni bez uprzedzenia.

WK: *Kak w lewo, szak w prawo.*

MFŻ: Tak jest, tak jest. Tym bardziej jeszcze nie można było zdenerwować tych konwojów naszych dlatego, że oni mieli prawo w największą kałużę położyć całą brygadę, albo stój padnij, stój padnij. To już wszystko zależało od ich widzimisię. Po przyjeździe na miejsce pracy wyznaczano po prostu tak zwaną *zapretną zone*, pewien obszar wytyczony jakimiś kołkami, że nie można było wyjść poza obręb tego. I wtedy zdarzały się nieraz wypadki tragiczne, a szczególnie kiedy? Bo przecież ci żołnierze, którzy nas pilnowali to też byli młodzi mężczyźni, nieraz podobały im się więźniarki, to przecież były niewiasty wszystkich narodowości, jakie tylko są w Związku Radzieckim i w różnym wieku, były bardzo młode i były bardzo ładne. No więc taki konwój chciał sobie też kręcić z taką więźniarką, ale jeżeli się na to nie zgodziła, mieliśmy taki przypadek, że się nie zgodziła na to, to on chciał się na niej zemścić.

[3B, 00:15:00]

I właśnie w czasie pracy wystrzelił do niej, ale trafił w Polkę, żeby chronić siebie przesunął kołki tak, żeby ona leżała poza tymi kołkami, czyli powiedział, że ona wyszła poza ten

wyznaczony plac pracy i ona umierała na oczach więźniarek innych i nie pozwolił nikomu do niej podejść. Miała dziecko w żłobku, bo była, nie pamiętam już, czy była aresztowana, czy z tym dzieckiem maleńkim była aresztowana. W każdym razie jedna z naszych Polek prosiła, żeby jej dziecko to oddali, ale niestety władze nie zgodziły się i wywieźli dziecko w głąb Rosji. Jeszcze pracując tam w tym żłobku, gdzie były dzieci przetrzymywane do lat 2, a później były odbierane matkom, był widok straszny wtedy. Te matki rozpaczały, dosłownie niehumanicznym głosem wyły, jak im wrywano te dzieci. To była jedna z najcięższych chwil w obozie. Po wyjściu z obozu, czyli po skończonym wyroku matki miały prawo zabierać swoje dzieci, jeżeli udało im się je odnaleźć. Miałam wypadek właśnie w naszej bliskiej rodzinie, dotyczyło to męża mojej siostry, on był aresztowany, jako 15-letni chłopiec z ojcem, bo byli w lesie i dostali po 25 lat oboje, w domu była matka z młodszym 6-letnim braciszkiem. Przyszli aresztowali matkę, a zostawili na podwórku to 6-letnie dziecko bez żadnej opieki, po prostu zajęła się tym dzieckiem któraś z sąsiadek, a potem dziecko to wywieziono w głąb Rosji. I ta matka po 8 latach dopiero odnalazła to swoje dziecko, był to już 14-letni chłopiec, który był wychowany, wiadomo, jak wychowywali tam w domach dziecka, bez Boga, bez znajomości ma się rozumieć ojczystego języka. Ale matka ta później repatriowana była do Polski z tym dzieckiem, skończył on już szkołę polską i maturę, i studia tutaj, i jest marynarzem w Świnoujściu.

WK: Ale znormalniał już potem?

MFŻ: To znaczy na pewno ten dom dziecka zostawił pewne ślady, że było bardzo trudno nawiązać z nim jakąś więź uczuciową tej matce. Bo to dziecko było przecież w warunkach tych i chorowało na tą sierocą chorobę, ale teraz już jest prawie, że normalnym człowiekiem, ale już jest w jakim wieku. Jest to człowiek dorosły, ma dorosłe dzieci i ma już nawet wnuki. Problemem w obozie było też to, że przecież byliśmy młode, skazane byliśmy na wyroki po 25 lat, jasne, że żywy organizm ludzki ma swoje wymagania, że każda z przyjemnością spotkałaby mężczyznę, porozmawiałaby z nim, gdyby to było możliwe, było to zabronione. Po oddzieleniu mężczyzn od kobiet w obozach możliwość taka istniała tylko wtedy, jeżeli było się poza obozem w miejscu pracy, gdzie pracowali również mężczyźni.

[3B, 00:20:00]

Pod wpływem tego głodu po prostu, tych wrażeń z tej dziedziny dochodziło nieraz do zboczeń, dochodziło w obozach nawet do lesbijskiej tej miłości między kobietami. Były również przypadki, ale rzadkie, że niewiasty grupowo gwałciły mężczyznę, jeżeli wpadł im w ręce, a szczególnie tutaj chodzi o kryminalistki, bo takiego przypadku wśród politycznych nie pamiętam. Co do moralności w obozie, były przypadki i wśród Polek, że dawały się ponieść

jakimś tam uczuciom i związkom z mężczyznami, ale w porównaniu do innych narodowości były to raczej wypadki rzadkie.

WK: Czym to tłumaczysz Marysiu?

MFŻ: Czym to tłumaczyć? Tym, że między nami Polkami były niewiasty starsze o wysokim poziomie moralnym i one nas młode po prostu powstrzymywały od tych rzeczy, pilnowały, ochraniały. Nawet gdyby była chęć którejś z młodych dziewczynek, żeby sobie na coś pozwolić to ona się czuła skrępowana jednak pobytem z tymi Polkami innymi. Liczyła się z tym, że to przecież może wyjść poza obóz. A jednak i powstrzymywała nas od tego wiara. To znaczy na pewno nie było to lekkie, to była wieczna walka ze sobą, ale przeważnie się tą walkę wygrywało.

WK: To chyba zależało też od poziomu etycznego i...

MFŻ: Od poziomu etycznego to raz, od temperamentu dwa.

WK: I od stopnia dystrofii chyba.

MFŻ: Też, to wszystko miało, wiesz, znaczenie. Tym bardziej, jeżeli ktoś tej wycieńczonej i zapracowanej kobiecie, czy dziewczynie ofiarował jakąś pomoc, a był to mężczyzna, to też miało wielkie znaczenie, bo niestety przecież był pół głód. To znaczy w tym okresie, w którym ja byłam, to już było po wojnie, to już był rok 48, ale jeżeli wziąć te lata w czasie wojny, to było strasznie.

WK: I te pierwsze po wojnie zdaje mi się.

MFŻ: I te jeszcze pierwsze po wojnie.

WK: Ty trafiłaś Marysiu chyba na ostatni okres tego straszego głodowego okresu.

MFŻ: Tak z tym, że miałyśmy o tyle już lepszą sytuację, że przyjeżdżając do obozu już mieliśmy ten barak, czy tą ziemiankę, w której się mieszkalo, bo mieszkaliśmy również w ziemiankach tych. Były również ciężkie warunki, bo w pewnym okresie politycznych, którzy mieli po 25 lat na noc przecież w ogrodzonym obozie zamykano i musieliśmy korzystać z tej paraszy wtedy, nie wolno było wyjść poza barak. A przecież w takim baraku, czy w takiej ziemiance to było po kilkaset osób, były podwójne nary. I była taka ciasnota, że jeżeli się w nocy wstało to momentalnie to moje miejsce znikalo, bo we śnie się, jasne, że się od razu zsuwają te ciała, bo jest tylko możliwość, żeby można było inną pozycję przyjąć, to się ją przyjmuje.

WK: A to wtedy, kiedy były tak zwane (nz).

MFŻ: (nz).

WK: (nz).

MFŻ: Tak, tak, szczególnie góra była zawsze (*nz*) było bardzo mało przypadków, że był *niesplaszniak* były poszczególne nary, ale to tylko dla tych tak zwanych *prydurow*.

[3B, 00:25:00]

Tych, którzy byli na stanowiskach.

WK: Arystokracja obozowa.

MFŻ: Tak, arystokracja obozowa, A poza tym to wszystko był *splaszniak* i wtedy powracając na swoje miejsce trzeba było po prostu padać w to miejsce, żeby ciężarem swoim rozsunać. Jeszcze miałam, jaki przypadek był właśnie w Moskwie w tym więzieniu w Krasne Presni co tam było uciążliwego?

WK: (*nz*)?

MFŻ: Tak, tak. Przecież tam byliśmy miesiąc. Spałam na górnych narach, a nade mną była żarówka, żarówka, której się w ogóle nie gasiło, ona się paliła dzień i noc, to było strasznie męczące. Dlatego, że przecież to przeszkadza człowiekowi w spaniu, jak takie światło się pali nad tobą. Mieliliśmy również w obozie przypadek pewnego rodzaju samobójstwa, jedna z Rosjanek z naszej brygady została aresztowana i w domu została matka staruszka, nikogo więcej nie było. Ona wiedziała, że ta matka nie przeżyje tego, że ona jej już nigdy więcej nie zobaczy. Oprócz tego była ona bardzo chora na uszy, nie chcieli jej dać zwolnienia od pracy i posłać do szpitala, wtedy ona z tej rozpaczki poszła na druty. Strażnik na górze krzyczał do niej, żeby ona się cofnęła, ale ona uklękła koło tych drutów i krzyczała: *Strzelaj*. Wtedy on puścił w nią serię, w okolicach tutaj brzucha. Wzięto ją do szpitala obozowego, zrobiono operację, ale jak tylko obudziła się, pozrywała opatrunki i niestety zmarła, a miała wtedy lat jakieś 20, może 22. Od tego czasu nam w baraku założono kraty i zamykano nas na noc w barakach, stawiano parasze, bo był to barak polityczny 25-latków, inne baraki z innymi wyrokami nie były zamknięte na noc.

WK: A czy były częste wypadki samobójstw? Opowiedz Marysiu w ogóle o problemie odporności psychicznej i ostatecznych załamywań się.

MFŻ: To znaczy było dużo przypadków na przykład uszkodzania ciała.

WK: Samookaleczeń?

MFŻ: Samookaleczeń, tak. Dlatego, że niektórzy nie wytrzymywali fizycznie tego, załamywali się...

WK: Marysiu, ja myślę, że to jest inny problem, problem ucieczki do *sangaradka* czy od pracy zbyt ciężkiej. Ale mnie chodzi o ostateczne załamanie, gdzie człowiek dochodzi do kresu swojej wytrzymałości psychicznej przede wszystkim.

MFŻ: Tak, tak, były takie przypadki tym bardziej, że mieliśmy przecież psychicznie chorych i mieliśmy oddziały szpitalne dla psychicznie chorych. Tym bardziej, że ludzie ci, którzy mieli jakąś łączność z domem, czy w postaci paczek, czy w postaci listów mieli jakieś oparcie w tym, prawda, wiedzieli, że mają dla kogo żyć. Ale ludzie, którzy absolutnie nikogo nie mieli, gdzie byli zabierane całe rodziny. Z tym że nie zezwalano na to by matka była z córką w jednym obozie, a przecież te matki były w obozie, widziały jakie są warunki i wiedziały, jakie warunki mają ich córki, bo przecież były w takich obozach. To nieraz było właśnie powodem do tych załamań, do rozpacz. Oprócz tego chciałam ci jeszcze powiedzieć pewną rzecz, może to się wydać śmieszne, ale tam wielkie znaczenie w obozie miało tłumaczenie snów. Między innymi przychodziły do mnie takie staruszki i mówiły, że śniło jej się to, czy tamto, że śniły, że miała długie włosy, że miała tam takie, czy inne buty.

[3B, 00:30:00]

I ja po prostu z litości tłumaczyłam te sny.

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_4A

MFŻ: Takim im namieszałam, że zawsze wychodziło, że na dobre w ostatecznym razie. - *To, że ci się śniły te buty, no to wiesz, no to niezbyt dobrze, bo to będzie etap. Ale to, że ty miałaś długie i śliczne włosy to będzie dość długa podróż, może to będzie nawet, jeżeli jasne mocno włosy, to będzie podróż do domu, może cię zwolni.* I w ten sposób tłumacząc, starałam się je podtrzymać na duchu. Muszę ci tylko powiedzieć, że mimo że byłam najmłodsza wiekiem z nich tam, byłam lubiana przez nie, bo nawet w obozie starałam się być wesoła. Dlatego, że one mi przypominały moją matkę.

WK: A ty im córkę.

MFŻ: A ja im córkę. Więc było raz tak, że jak byłam w takiej inwalidzkiej brygadzie, to wszystkie niewiasty ponazywałam żydowskimi imionami i sama się tak nazywałam. I one później nie reagowały na swoje prawdziwe imiona, tylko na te przezwiska Żydowskie. Czy bywało tak, że jesteśmy w pracy za zoną, jest silny mróz, one nie miały siły, żeby pracować, bo praca była ciężka, czy z łodem, czy z kilofem trzeba było coś tam, wiesz, odbijać i stojąc marzły. Więc ja znienacka podchodziłam do jednej, przewracałam ją, na nią drugą, trzecią i cała wielka kupa powstawała z tych babusiek takich poprzewracanych, zanim one się wygramoliły i stanęły na nogi już się rozgrzały. Ale różnie było, przecież była i taka praca, żeśmy musiały wypiłowywać takie olbrzymie tafle lodowe na rzece. Do czego to było potrzebne? Budowaliśmy tak zwane (nz), to był taki specjalny, specjalna olbrzymia lodówka obsypywana później trocinami, na to później jeszcze ziemia chyba szła, żeby utrzymać tam tą bardzo niską temperaturę, bo tam trzymano z kolei te z reniferów mięso, rozumiesz? Żeby

ciągle nie korzystać z konieczności przywożenia tego. Ale już o tym, jak pracowałam w takiej brygadzie transportowej, gdzie nas zaprzęgano do sani i myśmy na sobie wszystko musiały wozić. To ja ci chyba już potem opowiem o tym, bo to już było w innym obozie, w obozie prawie całkowicie inwalidzkim, do którego wywieziono mnie z Workuty. Obóz ten był w miejscowości Abiz, a słowo to w języku komi znaczyło przepaść. Wywieziono mnie tam w celi leczenia, bo w obozie na Workucie wśród pracowników zdrowych pierwszej kategorii ja się liczyłam inwalidą, którego trzeba leczyć. Ale jak przyjechałam do Abizu, gdzie były kalekie niewiasty na kulach, albo bez nogi, albo bez ręki i w ogóle takie już, jak to się mówi po obozowemu *dochodiagi*, to wtedy ja młoda dziewczyna, ale z rękoma i z nogami, to byłam siłą roboczą. Przecież ubiór nasz tam na północy, z czego się składał? Z watowanych portek, z fufajki krótkiej do pasa na to szedł dłuższy buszlat też watowy, walonki i czapka uszanka, no i watowe rękawice. I wyobraź sobie, że były takie okresy, że ja dosłownie nie mogłam na sobie udźwignąć tego umundurowania.

[4A, 00:05:00]

Przy moim wzroście 165 ja ważyłam 48,5 kilograma, a byłam w brygadzie transportowej. Więc koleżanki mi mówiły: *Ty się tylko trzymaj za te sanie, żebyś nie upadła, żebyś tylko jakoś ten dzień przeżyła*. Wyjeżdżamy za zonę, wracamy, chcemy odpocząć, mówią: *Nie, odpoczniecie za obozem*. Wyjdziemy za obóz, prosimy konwoja, żeby pozwolił nam odpocząć trochę, to on mówi: *Nie, po co macie tu odpoczywać, odpoczywać w zonie, jak przyjedziecie*. I tak było ciągle, żadnego odpoczynku nie było. Ja zamiast popychać jeszcze te sanki, to się musiałam ich trzymać tylko, żeby nie upaść, czyli ze mnie nie było żadnej korzyści wtedy, byłam raczej ciężarem dla tych, co ciągnęły, ale innego wyjścia nie było. One z litości tolerowały moją obecność w tej brygadzie. A potem znów dochodziłam do tej tak zwanej dystrofii i ładowałam w szpitali na kolejne leczenie.

WK: Marysiu, łagry były narodowościowa wieżą Babel, czy możesz jakoś scharakteryzować poszczególne grupy narodowościowe, co je odróżniało?

MFŻ: Tak, to znaczy w pewnym sensie, mogę ci tylko powiedzieć, że co do narodowości to tyle, ile ich było w Związku Radzieckim to każdej narodowości przedstawicielki były w naszym obozie. Była nawet Angielka, z kolei Chińczycy byli, ale oni przeważnie byli zatrudnieni w pralniach. Co do niewiast najbardziej chyba odporne i najbardziej wytrzymałe były Ukrainki i Rosjanki z tym, że może wygląd ich, że one wyglądały tak na może bardziej syte jakieś, czy na okrągłe, ale to było złudne. One po prostu potrzebowały bardzo dużo zjeść, a te nasze posiłki były bardzo mało kaloryczne, nie można było w żadnym wypadku dostać tego drugiego tym dania powtórki przypuścmy. Jeżeli udało im się uprosić o dodatkową porcję tej tak zwanej

balandy, zupy, one ją zjadały, to objętościowo było dużo, ale nie zaspokajało głodu. I dlatego one, wiesz, tak wyglądały, że miały te figury i z przodu i z tyłu. Z tym, że Estonki były delikatniejsze i słabsze, no i z kolei bardziej kulturalne jednak, one się tym wyróżniały. Było dużo również Litwinek, wydaje mi się, że chyba jakieś, nie przesadzę, ale chyba Litwinek było chyba tam jakieś z 50% w ogóle całej populacji litewskiej, wiesz, całej ludności zamieszkałej, tak wielkie ilości ich były. Dużo było Łotyszek, w ogóle było dużo więźniarek politycznych z republik nadbałtyckich tych. Zresztą było nawet sporo Żydówek, były i takie. Było wśród nas dużo więźniów, to znaczy tych, którzy byli na froncie i tylko dlatego, że będąc w niewoli nie zginęli, że w ogóle, że popadli (nz). Zasługi to było wiesz, takie coś bardzo problematycznego, a szczególnie w ich rozumieniu.

WK: Oni mieli obowiązek ostatni nabój sobie przeznaczyć.

MFŻ: Tak i na ustach z imieniem Stalina umrzeć bohatersko też. Chciałam jeszcze nawiązać do mojego etapu pierwszego między obozowego, czyli przewiezieniu mnie z Workuty do Abiz. Śledzie były niewymoczone, człowiek z głodu je jadł, żeby zaspokoić głód, ale się chciało pić, a z tym picciem to było bardzo różnie. Jeżeli brakowało wody to człowiek podwójnie cierpiał te straszne pragnienie.

[4A, 00:10:00]

Wieźli nas do tego Abizu, wyladowali dość daleko od obozu, a ze względu na to, że to przecież byli ludzie chorzy, ale oni się absolutnie nie przejmowali tym, żeby podstawić jakieś, czy podwozy, czy jakieś sanie, żeby można było chociaż te rzeczy położyć.

WK: Marysiu, ale to przecież chyba Abiz od Workuty jest kilkadziesiąt kilometrów.

MFŻ: No czy kilkadziesiąt, może troszeczkę nawet więcej niż kilkadziesiąt. Tak, ale przecież te pociągi one jeżdżą bardzo różno, to znaczy one nie jadą szybko. Dlatego, że zawsze pierwszeństwo mają nie pociągi z więźniami, tylko te pociągi kursujące z wolnymi, pociągi dowożące. A nas to wiesz, mogli postawić na kilka godzin i znów potem podwiozą kawałek i znów jest przystanek, i znów podwiozą kawałek.

WK: To ile to trwało dzień, 2, 3?

MFŻ: No nie pamiętam, wiesz, w tej chwili ile to trwało, w każdym bądź razie to jeszcze nie był taki długi etap, jak ten, który przeżyłam przejeżdżając z północy do Kazachstanu aż do Azji tam.

WK: Ale to był etap późniejszy.

MFŻ: To już będzie późniejsza sprawa, tak. Z tym, że po prostu chciałam ci powiedzieć, jak wyglądały te etapy, one były bardzo, bardzo uciążliwe, tym bardziej, że mówię ci, z tego miejsca, gdzie nas wywożono do obozu samego w Abizie było jeszcze sporo kilometrów.

Myśmy były chore, ja nie dawałam rady nieść tego przecież worka na plecach i taki ten (nz) tego swojego majątku, przecież człowiek musiał cały swój dorobek zabierać, nie było tego wiele, ale to przecież wszystko było na wagę złota, każda szmateczka, każdy skrawek czegoś. I wyobraź sobie, że tylko podwieźli te, które w ogóle nie mogły chodzić, przysłali potem z obozu jakieś sanie. A ja musiałam iść, a że nie dawałam rady nieść to ciągnęłam po śniegu, jeszcze ktoś dał mi jakiegoś sznurka i razem mi pomagał ciągnąć, tak wyglądało. I przyszlismy do obozu właśnie i tam warunki były o wiele gorsze niż w tych obozach na Workucie tam, gdzie były te brygady takie silne, tam były już ziemianki. A jeszcze, co robili, wiesz, z tymi starymi niewiastami, które się nie nadawały do żadnej pracy. Mieliśmy takiego naczelnika obozu, że kazał tym staruszkom zbierać kamyczki, jak już pozbierały wszystko kazał rozrzucić i zaczynały od nowa. To była namiastka tej pracy, żeby one przypadkiem nie były bez jakiegoś zatrudnienia, mimo tego, że to przecież nie miało absolutnie żadnego sensu, ale przykaz był przykaz i to robiły. Teraz chciałabym uogólnić wszystkie te trzy obozy i rodzaje wykonywanych w nich prac. Będzie to Workuta od 1949 do 1950, Abiz 1951-1953 i Inta 1954 do lutego 1955 roku. Norma pracy dla kobiety i mężczyzny była jednakowa, wyżywienie również. Jakie były prace? Rozładunek wagonów, przychodził węgiel, drzewo, żwir, kamienie i inne materiały. Budowaliśmy również kolej żelazną, wykopy pod fundamenty robiliśmy, wymieniano kanalizację i budowaliśmy również fundamenty. Zakładane były przewody centralnego ogrzewania, woziłam taczka zaprawę betonową. Dokonywałyśmy wytorfowywanie terenu pod budowę, warstwa torfu była dość duża. Tynkowałyśmy ściany ziemianek i baraków, kosiłyśmy w wodzie trzcinę. Nosiliśmy na duże odległości różne ładunki, właśnie między innymi tą trzcinę na budowę schroniska dla psów, które pilnowały więźniów.

[4A, 00:15:00]

Wypilowywałyśmy duże rozmiary taflí lodowatych, używane były one do budowy takich lodówek. Pracowałyśmy również w transporcie, na czym to polegało? Nie używano samochodów, nie wiem, czy dla tego, że żałowano paliwa na nie, czy żeby nas wykorzystać, jako zaprzęg. Zaprzęgałyśmy więc do sań i woziłyśmy całe wyposażenie obozowe i zaopatrzenie.

WK: Opowiadałaś, jak wtedy w wycieńczeniu, prawda?

MFŻ: Tak, tak. Woziłyśmy węgiel, żywność, materiały budowlane. Dostarczałam wodę, którą woziłam koniem, a później wołem, który miał chore kopyta. Na czym to polegało? Że jak śpiewałam to on szedł, woziłam przeważnie w nocy, były to te białe noce, kiedy obóz spał. Pracowałam również w takiej pracowni krawieckiej, gdzie wyszywałyśmy firanki, obrusy, pościel, a to wszystko robiliśmy dla wolnych i dla obsługi obozowej. Oczyszczałam doły

kloaczne, wywoziłam fekalia, na czym to polegało? Wylewało się na takie poletka fekalia te, jak zamarzyły to się łomem, albo kilofem rozbijało, ładowało później na sanie i wywoziło poza teren obozu. Oczyszczaliśmy również studzienki kanalizacyjne i pamiętam jeden taki przypadek, że w studziencie kanalizacyjnej była żaba, do której ja, no czułam uraz. Ale ze względu na to, że moja silniejsza ode mnie koleżanka była chora na serce i nie mogła pracować w tej studziencie, ja się zgodziłam na to, żeby tam pójść, tylko cały problem był, jak usunąć stamtąd tą żabę.

WK: Jakim cudem ona się tam przechowała przy takich mrozach?

MFŻ: Ona po prostu, to było już w czasie tego lata na północy, ona wpadła do tej studzienki i nie mogła się z niej wydostać, ona chyba niemniej się bała ode mnie. Więc jakimś cudem udało mi się ją do wiadra zapędzić i przy wyciąganiu tego wiadra, ona ponownie wyskoczyła nad moją głową do tej studzienki. Łomotało mi serce, tak jakby co najmniej wybuchła bomba, albo granat wybuchł, ale umiałam się na tyle opanować, że jednak wytrzymałam tam i pracę swoją wykonałam. Co jeszcze robiłyśmy? Różne prace porządkowe w stołówkach wojskowych i w innych pomieszczeniach, było to szczególnie mycie podłóg. Była to dość ciężka praca, wynoszenie z kolei tej brudnej wody na zewnątrz na ten mróz było niebezpieczne z tego tytułu, że mogłyśmy się przeziębnić, to wtedy wymyśliłyśmy inny sposób. Przebijało się gdzieś dziurę w podłodze, to znaczy między spoinami tych desek i spuszczało się takimi specjalnymi szwabrami, było to coś w rodzaju takiej szczotki na kiju z tym, że zamiast szczotki było przybita guma i tym się ściągało tą wodę do tych dziur i ona sobie płynęła tam do fundamentów. Nieraz były prace remontowe, to znaczy po remontach sprzątanie pomieszczeń różnych. Przerwą w pracach były choroby, którym ulegałam i pobyt w szpitalach. W przeciągu tych 8 lat pobytu w obozach i na zesłaniu prawie 2 lata przeleżałam w szpitalu. Początek chorób był w więzieniu w Brześciu, to był początek gruźlicy płuc. Na Workucie była już gruźlica i febra.

[4A, 00:20:00]

Nie wiem, czy to była febra, czy malaria w każdym bądź razie objawy były właśnie takie. Pamiętam również, że dawano mi chininę, od której robiło się, żółkło po prostu ciało. Ze względu na to, że byłam raczej skazana już na śmierć nie ostrzyżono mi włosów, ale o dziwo przeżyłam tą chorobę. W Abizie (nz) leżałam również na gruźlicę i byłam operowana na gangrenę ślepej kiszki. Nie pamiętam, czy opisywałam, jak mnie wieziono, chyba raczej nie. Trudno się było dostać do tego szpitala obozowego, były przypadki, że udawano choroby. Nikt się specjalnie nie przejmował tym, czy w moim przypadku była to prawda, ataki te ślepej kiszki, czy też może oszukiwanie władz. Więc byłam w obozie tym przetrzymywana prawie 3 doby, jednocześnie byłam badana przez lekarza Żydówkę, badana ginekologicznie, czego w zasadzie

ona nie miała po prostu prawa zrobić ze względu na to, że, jak później stwierdziła sama, byłam dziewczicą. Wywieziono mnie samochodem ciężarowym na drewnianej mojej walizce do tego szpitala już w bardzo szybkim tempie. Ja nie wyobrażałam sobie, że grozi mi już operacja, zresztą nigdy nie byłam operowana, ale po zrobieniu analizy krwi, okazało się, że stan jest krytyczny. Zgodę na operację podpisał lekarz Polak i byłam operowana. Jednocześnie w czasie operacji był apel, czyli przeliczanie więźniów i właśnie nawet w tym, na tej sali operacyjnej przechodziłam ten apel. Zoperowano mnie, była to gangrena ślepej kiszki. Operował mnie chirurg Niemiec, który miał również wyrok 25 lat i miał swoją klinikę w Berlinie. Następną chorobą już w Incie był wypadek samochodowy spowodowany w czasie ćwiczeń straży pożarnej. Należałam do tej straży, wydawało się wszystkim, że jest to praca najlżejsza, a ze względu na mój stan zdrowia starano mi się po prostu pomóc przetrwać. Samochód przyjechał w czasie purgi i trzeba było skoczyć po prostu, czy na stopnie koło drzwi do kabiny samochodowej, czy w każdym bądź razie w jakiś sposób włączyć się do tej akcji. Na stopień tego samochodu wskoczyła moja koleżanka i podała mi rękę, niestety poślizgnęłam się i jedno z tych tylnich kół tego olbrzymiego wozu przydusiło mnie po prostu, bo gdyby przejechało po mnie to nic by ze mnie nie zostało. W każdym bądź razie w początkowej fazie traciłam wzrok, który później odzyskałam, ale uszkodzeniu uległ kręgosłup lędźwiowy. I niestety skutki tego odczuwam już przez całe swoje życie. Mimo przebytych tych chorób pracowałam przez cały czas w brygadach roboczych.

[4A, 00:25:00]

Nigdy się nie dostałam na żadne uprzywilejowane jakieś stanowiska w obozach. Chciałam również powiedzieć o dokształcaniu obozowym. Były wśród nas starsze Panie Polki z bardzo dużym doświadczeniem życiowym, z dużą wiedzą, uczyły one nas, młodsze koleżanki wszystkiego, co można było przekazać ustnie bez prowadzenia jakichkolwiek notatek, bo to było niedozwolone, dokonywały tego przeważnie w czasie apelu. Ze względu na to, że byłyśmy w różnych barakach i nie zawsze można było się odwiedzać, w czasie apelu stawałyśmy blisko siebie i wtedy wykorzystywałyśmy na to ten czas. Uczyłyśmy się na pamięć wierszy, wykladały one historię, język polski, szczególnie znaczenie wyrazów obcych, polską literaturę. Jednocześnie modliłyśmy się wspólnie, śpiewałyśmy, recytowałyśmy wiersze, jakie każda z nas mogła zapamiętać. Z kolei, jak wyglądały nasze kontakty z duchowieństwem? Miałyśmy tylko dwa przypadki udzielenia absencji na odległość i jeden raz udzielenia komunii świętej przemycanej z męskiego obozu. Jak wyglądało udzielenie tej absencji, po prostu zawiadamiano nas, że w brygadzie, która przyjdzie do naszego obozu będzie kapłan i na odległość udzieli nam rozgrzeszenia. Jeden jedyny raz w czasie pobytu w szpitalu gruźliczym

mogłam skorzystać ze spowiedzi, bo jako sanitariusz pracował duchowny biskup z tym, że nie pamiętam niestety jego nazwiska, był to Polak. Na czym również wyglądała działalność kulturalna w obozie? Szczególnie było to możliwe już po śmierci Stalina w 1953 roku, reżim w obozie zelżał, już były przypadki, że przywożony filmy do obozu.

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_4B

MFŻ: Z kolei więźniarki wystawiały opery na przykład wystawiana była opera „Faust” Gounoda i wyjątki z opery Jewgienij Oniegin sama brałam w tym udział. Wszystkie role obsadzone były niewiastami różnych narodowości, między innymi mieliśmy bardzo zdolną Ukrainkę, która miała przepiękny głos kontralt tak niski, że przypominał brzmienie głosu męskiego i grała właśnie ona rolę Fausta, nie Fausta tylko Mefisto. Teraz jeszcze wspomnę o przeprowadzaniu rewizji w więzieniu, które były przeprowadzane w szczególnie poniżający sposób. Były to czasem rewizje osobiste zupełnie nago z badaniem nawet odbytnicy, czy przypadkiem się czegoś nie schowało. Badania przed wysyłaniem na etap również były poniżające.

WK: Kobiety dokonywały?

MFŻ: To znaczy nie zawsze w komisjach przed etapem, albo w komisjach, które miały na celu ustalenie kategorii zdrowia brali udział mężczyźni z tym, że nie zawsze byli to lekarze. Wielką pomoc okazywali nam, Polkom lekarze, pielęgniarki i sanitariusze również Polacy, starali się po prostu ratować najsłabszych. Teraz opowiem o ostatnim swoim etapie, czyli o wyjeździe z Komi SSR, konkretnie z Inty do Kazachstanu w lutym 1955 roku. Jakie były wagony, wagony były towarowe, miały potrójne nary, bardzo małą ilość paliwa, żelazny piecyk, beczka z wodą i było przeważnie po 60 osób w wagonie, z rzeczami, było bardzo ciasno. Wieziono nas zawsze na etap w okresie zimowym w czasie największych mrozów, twierdząc, że to jest najlepszy okres do zmiany klimatu, a zmiana była olbrzymia, bo i odległości były bardzo duże. Wieziono nas przez 11 dni, co było bardzo uciążliwym? Załatwianie fizjologicznych potrzeb ludzkich, do tego służyło korytko, którego ujście znajdowało się na zewnątrz wagonu. Gdy zabrakło nam wody do zmywania tego korytka po prostu wylot ten zamarzał i wtedy była tragedia, co żeśmy wtedy robili? Nikt nas nie wypuszczał, żebyśmy mogły same oczyścić ten wylot, więc stukaliśmy w drzwi i krzyczałyśmy do wiozącego nas żołnierza (nz), czyli po prostu żeby on nam pomógł przebić ten wylot. W czasie etapu brak było opieki lekarskiej, a mieliśmy wśród siebie, między sobą raczej chore niewiasty. Zresztą etap ten był olbrzymi, cały pociąg był pełen więźniów, tak niewiast, jak i mężczyzn.

[4B, 00:05:00]

Miałyśmy przypadki ataków serca, czy ataków epilepsji, więc stukałyśmy i krzyczałyśmy prosząc o przysłanie lekarza, niestety przeważnie nasze prośby kończyły się na niczym. Wówczas ogłosiliśmy w naszym wagonie, jako protest głodówkę, rezultatem tego było, nie wiadomo, czy to umyślne, czy to przypadkowe, ale zamknięcie wylotu rury od piecyka, która wychodziła na zewnątrz wagonu. Częściowo uległyśmy zaczadzeniu, a po czym to można było stwierdzić? W innym wagonie znajdowała się moja koleżanka, która miała całe nasze jedzenie, z kolei ja miałam naszą odzież, rozdzielono nas. Ona cały czas prosiła o połączenie, o przeprowadzenie mnie do jej wagonu ze względu na to, że po wyjściu ze szpitala po tym wypadku samochodowym byłam bardzo słaba, a ona po prostu opiekowała się mną. Jak przyszedł konwój po mnie do tego wagonu i otworzono drzwi, to po prostu stwierdzono, że ja nie byłam w stanie sama wyjść z tego wagonu.

WK: Czy było jakieś śmiertelne zatrucie?

MFŻ: Śmiertelnego zatrucia nie było z tym, że chorowały koleżanki dość długo, były przypadki zwracania, czyli wymiotów, torsji i bólów głowy. Jechałyśmy, jak już wspomniałam, przez 11 dni, po przywiezieniu nas do Kazachstanu i wyprowadzeniu z wagonów ujrzałam widok, którego do końca życia chyba nie zapomnę. Jeżeli byłeś może kiedyś w grocie i widziałeś stalaktyty to cały nasz ten pociąg był w stalaktytach z tym, że z ludzkich odchodów, które mieniły się barwami tęczy i tam właśnie była też poezja w tym. Jaki był klimat w Kazachstanie? Wybitnie kontynentalny, noce były bardzo zimne, dni natomiast ciepłe. Wychodziłyśmy do pracy w fufajkach rano, a w ciągu dnia musiałyśmy się rozbierać, nieraz dosłownie pracując na polu rozbierałyśmy się do tej naszej więziennej bielizny.

WK: A jaka była wasza bielizna więzienna?

MFŻ: Więzienna bielizna miała kolor ciemnoszaro brunatny, żeby po prostu mniej było znać ten brud, była wymieniana co dwa tygodnie, z tym że nigdy nie dostawaliśmy tej bielizny tej samej, dlatego że zabierano jedną, a dawano nam już zupełnie inną. To samo było z naszymi sukienkami, z tym że tutaj to było troszeczkę uciążliwe dlatego że przecież byliśmy i różnej tuszy i różnego wzrostu, to już wtedy starano się jakoś zabezpieczyć, żeby sukienki wracały do właściwego więźnia. Albo też starałyśmy się załatwiać pranie we własnym zakresie. W Kazachstanie były tak zwane ziemie dziewicze, były to stepy, które bardzo ładnie wyglądały wiosną, kiedy wszystko było zielone i kwitło, ale okres tego był krótki. Potem następowały upały i susze, wszystko wysychało i wtedy były częste przypadki pożarów, nawet samozapalania się. Ziemia pękała tak, że można było w szczelinę włożyć dłoń. Brak było drzew, drzewa tam nie rosły, rosły tylko posadzone wzdłuż aryków, czyli kanałów służących do nawadniania pól.

[4B, 00:10:00]

Polą były zalewane i w tej wodzie sadzało się po prostu pomidory, ogórki i kartofle. I wtedy już nasze życie trochę się zmieniło, już nie było takiego głodu. W naszej brygadzie hodowaliśmy ogórki, inna brygada miała pomidory, więc jeżeli był konwój dobry pozwolił nam na zjedzenie tych owoców. Zresztą trudno, żeby on mógł całą brygadę upilnować, żebyśmy nie zjadły tego ogórka, czy pomidora. Jeszcze chciałam nadmienić, żeby było tam również wielkie zasolenie gleby. Na przykład już w czasie pobytu w Karagandzie pewnego dnia szłam i myślałam, że to jest szron na ziemi, a to błyszczała po prostu sól, która występowała na powierzchni. Baraki w Kazachstanie nie były budowane z drzewa, tylko z gliny i nawozu, brak było podłóg, podłogi również były z gliny i nawozu, tylko nary były drewniane. Odczuwaliśmy również brak wody, Także często myliśmy głowy i myliśmy się w arykach w czasie pracy na polach. Jeszcze jedną uciążliwością była obecność pajaków, tak zwane tarantule były tam, od tego czasu mam uraz do wszelkich pajaków nawet naszych krajowych. Jakie były zwierzęta używane do zaprzęgów? Były to woły, dlatego że właśnie ich odchody były jednocześnie wykorzystywane, jako opał w stanie wysuszonym. Również w tym obozie po raz pierwszy po upływie 7 lat jadłam kartofle, ale w jaki sposób zdobyłyśmy je? Już była akcja wykopów, wykopywał te kartofle traktor, każda z nas miała wyznaczony odcinek i musiała zdążyć zebrać kilka tych rzędów kartofli zanim będzie wracał traktor. Bo jeżeli przeszedł i wbił je w grunt, to już nie można było je po prostu stamtąd wyrwać, dlatego że to była ziemia bardzo ciężka, gliniasta. Więc jasne, że każdy z więźniów starał się przenieść do zony trochę tych kartofli, ale jak dochodziłyśmy już do obozu przed bramą obozową była już sterta odebranych kartofli. Wtedy ja powiedziałam koleżankom, żeby zaczęły mi wrzucać kartofle, które miały przy sobie za kołnierz mojej sukienki. Ze względu na to, że byłam bardzo chuda po prostu nie było widać tego po mnie, na plecy narzuciłam fufajkę swoją trzymając ją jednak w rękach, poły tej fufajki, że nie mam nic przy sobie. Strażniczka pociągnęła rękoma tylko tutaj po piersiach i brzuchu i po prostu nie przyszło jej do głowy, że mogę mieć kartofle właśnie na plecach. Po przyjeździe do obozu rozwiązałam pasek tej mojej więziennej sukienki i posypały się kartofle, była to wielka radość, bo nielicznym się to tylko udało. Znalazłyśmy jakąś blaszkę od puszki po konserwach przy kuchni, zrobiliśmy gwoździem dziurki i już w tej chwili nie pamiętam, czy żeśmy te tarte kartofle jakoś gotowały jakieś takie kluski, coś w rodzaju pyzów. Z tym że one się tam troszeczkę rozgotowywały, ale sam fakt, że były to kartofle, których przez tyle lat nie jadłyśmy był już dla nas wielką przyjemnością.

WK: Marysiu, czy jak w bramie znajdowano kartofle to karano tych, u których to znaleziono?

MFŻ: To znaczy karać nie karano, tylko wszystko zabierano.

[4B, 00:15:00]

Dlatego że musieliby ukarać prawie cały obóz. I jeszcze jeden raz w życiu ukradłam 2 cebule, to było jeszcze na północy. I pamiętam jak dziś, zaprowadzono nas do tak zwanego (nz), gdzie były przechowywane kartofle dla wojska i ludzi, obsługi, wolnych i tam była cebula. No więc wzięłam takie 2 cebule, a że miałam takie bardzo obszerne walonki, włożyłam je sobie pod stopę i na palcach przeszłam te kilka kilometrów. Ale udało mi się je przenieść do obozu, to była wielka frajda.

WK: Ćwiczenia baletowe.

MFŻ: Dosłownie. Teraz jeszcze opowiem o zmianach zachodzących w polityce i w tym reżimie naszym obozowym. Po śmierci Stalina odczuwałyśmy pewne zmniejszenie rygorów, bo przecież byliśmy w obozach politycznych reżimowych o dość ciężkim reżimie. Miałyśmy prawo pisać listy przecież tylko dwa razy do roku w języku rosyjskim na określonej wielkości arkusza i podlegało to cenzurze, zresztą wszystko podlegało cenzurze, co wychodziło z obozu. Wtedy też zaczęto rozpatrywać nasze sprawy i stwierdzono po prostu brak uzasadnienia tych wyroków 25-letnich, mówię teraz odnośnie naszej sprawy. Zdjęto mi 15 lat, zostawało więc 10 lat wyroku. Wtedy wymyślono tak zwane zwalnianie warunkowe po nienagannym przepracowaniu w obozie 2/3 wyroku. Zastosowano to w stosunku do mnie, byłam wezwana do posiołka, tam się odbył sąd i zwolniono mnie z obozu warunkowo, na czym to polegało? Usunięto mnie po prostu z terenu obozu. Dano nam do zamieszkania była *instrumentalkę*, czyli taki domek, w którym znajdowały się narzędzia, usunięto je, dano nam żelazne prycze bez żadnej pościeli. I tam musiałyśmy urządzić jakieś warunki takie, żeby można było wytrzymać przez pewien okres czasu do chwili ustalenia, czy możemy wrócić do swoich domów, czy też czeka nas zesłanie. Nie miałyśmy żywności, żadnej żywności nam nie wydawano, ale solidarność okazały nasze koleżanki z obozu. Przechodząc obok naszego domku brygady rzucały nam kawałki chleba, nieraz pozwalał nam pilnujący je konwój zjeść trochę zupy, którą przywożono brygadam na pole.

WK: Marysiu dałaś mi do sfotografowania zdjęcia, gdzie cała brygada w uroczystych takich odświętnych ubraniach, prawda, uśmiechnięta pozuje, raz nawet z konwojentem, czy to z tego okresu?

MFŻ: Tak, to jest z tego okresu z tym że było to robione nieoficjalne, nie miałyśmy prawa fotografować się, a tym bardziej przecież tutaj przy obozie nie było fotografa. Ale koleżanka moja wyszła przede mną na wolność i mieszkała w Karagandzie, ona to przywiozła ze sobą z Karagandy fotografa.

[4B, 00:20:00]

Z kolei ubranie przemyciliśmy z obozu na pole, gdzie pracowaliśmy, tam żeśmy się przebierały kolejno...

WK: A to jeszcze w okresie obozu nawet?

MFŻ: Tak, tak, to było jeszcze w obozie. I tam nam ten fotograf zrobił zdjęcia.

WK: A czy on wiedział, że on nielegalnie to robi?

MFŻ: To znaczy, no przypuszczam, że tak, tym bardziej że później koleżanka ta po wywołaniu tych zdjęć już w Karagandzie wzięła nasze adresy i posłała do naszych rodzin. A czemu żeśmy się uśmiechały? Bo przecież nie chciałyśmy martwić nasze rodziny swoim wyglądem w tych naszych więziennych strojach i dlatego byłyśmy tam, można powiedzieć dość ładne i uśmiechnięte. A musiałyśmy zrobić z tym naszym konwojem, dlatego że chodziło nam o to, żeby on nas nie wydał, nie wydał tego faktu...

WK: Wspólnik przestępstwa.

MFŻ: Tak, tak, był to już wtedy wspólnik. Tym bardziej że wśród nich byli też różni ludzie, nieraz trafił się naprawdę dobry człowiek, zresztą oni odbywali przecież służbę wojskową i niestety nieraz nie mieli wpływu na to, gdzie ich posła.

WK: Czy to dla nich było karne zesłanie, to znaczy karna służba?

MFŻ: Trudno mi coś na ten temat powiedzieć, niestety nie wiem tego. W jaki sposób starałyśmy się jeszcze zdobyć pożywienie, chodziło tu szczególnie o kartofle. Brygady pracujące w polu starały się zostawić trochę kartofli, to znaczy niezbyt dokładnie wyszukiwały je i po powrocie brygady do obozu my wychodziłyśmy na te pola i szukałyśmy kartofli.

WK: A gdyby was tam zastano?

MFŻ: To znaczy, jeżeli to nie było ukradzione oficjalnie, to znaczy nie było ukradzione z rzędów jeszcze niewykoranych, no to wtedy może zabrano by nam je po prostu.

WK: Marysiu pytam dlatego, że tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy ludzi, chłopów, czy kobiet na kolchozach było ukarane ciężkimi obozami za zbieranie kłosów po żniwach.

MFŻ: Tak, z tym że to może był okres wcześniejszy, a przecież myśmy były więźniarkami, czym jeszcze można było nas ukarać, chyba że tylko zmniejszeniem racji żywnościowej. A już będąc tutaj poza obozem, oni przecież doskonale wiedzieli, że my nie mamy żadnych środków do przeżycia

WK: Czyli to była taka milcząca umowa? Udajemy, że nie wiemy...

MFŻ: To znaczy chyba w pewnym sensie tak. W tym czasie moja mama starała się w generalnej prokuraturze Związku Radzieckiego o zezwolenie na mój powrót do domu do Brześcia, niestety przyszła odpowiedź odmowna. Pokazywałam ci tą pocztówkę z tej generalnej

prokuratury. Przyszła decyzja, że mogę pójść tylko na zesłanie, mogłam wybrać miejsce zesłania. Ze względu na to, że nikogo nie miałam na innych terenach Związku Radzieckiego na wolności oprócz Brześcia, zdecydowałam się na pobyt w Karagandzie, gdzie miałam właśnie swoją tą koleżankę. Więc wieźli mnie znów drogą oficjalną, czyli tym (nz), samochodem więziennym przez punkt przesylny, gdzie znów się zetknęłam z więźniami kryminalistami i znów mi się przypomniały te wszystkie przeżycia. Z tym że miałam zebranych półtora worka kartofli i z tym też były przeboje, po prostu zabrano mi te kartofle, a to był jedyny mój majątek. Wtedy robiłam taki lament i był on prawdziwy, jakby wymordowano mi co najmniej rodzinę.

[4B, 00:25:00]

Wreszcie oddano mi te kartofle i razem ze mną powieziono je do Karagandy, tam okazało się to wielką pomocą. Spotkała mnie właśnie w Karagandzie przy wyjściu z tego samochodu więziennego moja koleżanka Marysia ze swoim przyszłym, mężem Jankiem Szczotem. Chcieli mnie po prostu przywitać uroczyście i poczęstowali mnie jednym kieliszkiem alkoholu, rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania, nie przyszło im do głowy, że ja byłam zupełnie na czczo, nic nie jadłam, a już było południe. Więc dosłownie sparaliżowało mi język, słowo mówiłam minutę, jednocześnie nie byłam nietrzeźwą, tylko niestety nie mogłam mówić, oni to kwitowali śmiechem. Co mogłyśmy jeść już na zesłaniu, to na co nas było po prostu stać. Kupowałyśmy sobie olej i chleb.

WK: Za co kupowałyście?

MFŻ: Koleżanka była zatrudniona w takiej pracowni krawieckiej i dostawała już wynagrodzenie. Ja niestety pracy nie miałam, bo mogłaby mi odpowiadać praca w jakichś stołówkach, ale ze względu na to, że byłam chora w obozie na gruźlicę nie mogłam się tam dostać. I tutaj gospodyni, u której mieszkaliśmy wypożyczyła nam tak zwany *czugunok*, taki dość spory garnek, który się wpuszczało w głąb fajerek. Nalewałyśmy wodę, wrzucało się kilka kartofli pokrojonych drobno, garstkę wermiszelu, trochę oleju i to zjadałyśmy z wilczym apetytem.

WK: Wermiszel, sprecyzuj.

MFŻ: To jest po prostu makaron, gotowy makaron sprzedawany w sklepach. I wtedy zaczęłyśmy się poprawiać, bo już nie miałyśmy tych przeżyć obozowych. Jadłyśmy również koninę, z tym że rzadko, bo to jednak na to nas nie było stać. W tym czasie coraz więcej rodaków wychodziło z obozów, między innymi wyszedł z obozu na wolność ksiądz Piątkowski Wacław, którego znałam jeszcze przed aresztu gdyż był kapłanem z Brześcia. Na czym polegała działalność duszpasterska księży, którzy wychodzili z obozów? Najwybitniejszą wśród nich jednostką był ksiądz Władysław Bukowiński, po wyjściu z obozu po prostu przyjął

obywatelstwo radzieckie by zostać tam w Kazachstanie, gdzie nie było kapłanów, a było bardzo dużo Polaków wywiezionych w 20 roku spod polskiej granicy do Kazachstanu. Byli tam również Niemcy wywiezieni z Powołża, z tym że Niemców tych rosyjskich, było dużo też Litwinów. Nabożeństwa i udzielanie sakramentów odbywały się po kryjomu w prywatnych mieszkaniach. To znaczy były to chrzty, pierwsze komunie i śluby.

WK: Uczestniczyłaś w takich?

MFŻ: Tak, uczestniczyłam w tych wszystkich uroczystościach. Mało tego, że uczestniczyłam, ale również były przypadki, że msze były śpiewane, śpiewaliśmy na przykład msze gregoriańskie.

[4B, 00:30:00]

W tym pomagały mi na przykład Niemki i Litwinki. W jaki sposób się one odbywały? Msza święta była odprawiana po...

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_5A

MFŻ: Msza święta była odprawiana po łacinie, homilia, czyli tak zwane kazanie odbywało się, jeżeli towarzystwo było mieszane odbywało się w języku rosyjskim, który wszyscy rozumieli. Pieśni śpiewane były jedna po polsku, druga po niemiecku, w zależności od ilości osób różnych narodowości. Zresztą byłam nie tylko chórzystką w tym okresie, ale i ministrantem, bo ksiądz Piątkowski nauczył mnie tego, dał brewiarz i po prostu łacinę znałam jeszcze sprzed aresztu, i jakoś żeśmy sobie radzili. W miesiącu grudniu 1955 roku zaczęła się repatriacja do kraju i odszedł z dworca cały pociąg Polaków, na peronie zostałam sama, był to dla mnie bardzo ciężki...

WK: Moment.

MFŻ: Moment w moim życiu, mogę go porównać z momentem aresztu.

WK: A ile jeszcze ci brakowało okresu zesłania, czy to było bezterminowe?

MFŻ: To było bezterminowe, okres zesłania był raczej dożywotni, mogłam się poruszać tylko w obrębie miasta Karagandy. Musiałam się co miesiąc meldować na milicji, że jestem, czyli posiadałam tylko tak zwany wilczy bilet. W tym czasie, żeby się wydostać stamtąd do kraju trzeba było udowodnić swoją polskość i obywatelstwo polskie jakimś dokumentem, czy metryką, czy świadectwem polskim. Niestety przecież te dokumenty były zabrane w czasie aresztu i nic nie miałam z tych rzeczy. Ale miałam w Polsce siostrę swoją Helenę Rozporską, która starała się o przyjazd do kraju rodziców i o mój powrót z zesłania, mam na to również dokumenty, które ci już pokazywałam. W tym czasie Polacy z Karagandy, czyli z tego Kazachstanu zaprosili nas z księdzem Bukowińskim na wigilię. I po prostu przekazywali nas z domu do domu, karmili nas, poili i wypuścili od siebie dopiero w drugi dzień świąt Bożego

Narodzenia, po raz pierwszy żeśmy się najedli do syta. Byli bardzo serdeczni, nazywali nas Polakami z Polski. W tym czasie Niemcom udało się wykupić barak i w baraku tym urządzili kaplicę, w której już oficjalnie odprawiały się msze święte, w których również brałam udział. Ksiądz Piątkowski był tam swego rodzaju proboszczem ze względu na to, że znał kilka języków między innymi język niemiecki.

[5A, 00:05:00]

No już nie mówiąc o polskim i rosyjskim, czy ukraińskim, ale znał jeszcze język francuski. Także był bardzo potrzebny tam dla tych ludzi. W tym okresie pamiętam, że przysłano mu już do Karagandy sutannę, którą się pochwalił w naszym baraku, gdzie gromadzili się wychodzący zesłańcy, już przysłali niektóre szaty liturgiczne i nawet był już mszał. Ale w tym też czasie dostał on wyzwolenie, jako inwalida pierwszej grupy na powrót na Białoruś, z czego ma się rozumieć skorzystał. I wtedy zaproponował mi odwiedzenie Brześcia i moich rodziców, było to dla mnie nierealne w tym sensie, że ja nie miałam żadnych funduszy, a podróż była bardzo daleka i kosztowna. Wtedy powiedział mi, że pokrywa koszty mojej podróży tam i z powrotem. Ale teraz był problem, że przecież ja nie miałam żadnych dokumentów i nie miałam prawa opuszczać miasta. Wtedy poradzili mi rodacy bym się urządziła w ten sposób, w następnym dniu poszłam do milicji i zameldowałam się, że jestem i miałam do dyspozycji już cały miesiąc, w czasie którym nie musiałam się już meldować i w tym dniu wyjechaliśmy pociągiem. Ze względu na to, że ksiądz był inwalidą i nie miał po prostu siły ja się bardzo przydałam jednocześnie, jako swego rodzaju tragarz, byłam jeszcze przecież młoda, miałam wtedy 26 lat.

WK: Czy jakieś kontrole były po drodze?

MFŻ: To znaczy kontroli nie było i jechaliśmy przecież w bardzo różnym towarzystwie, jechali przecież ludzie, podróżni różnych narodowości. Z tym że w przedziale odprawiał ksiądz mszę świętą. Podróżni ci byli na tyle delikatni, że na ten czas po prostu wychodzili z przedziału, a po skończeniu przychodzili. Ksiądz Piątkowski pięknie śpiewał, w czasie studiów w Rzymie śpiewał w chórze sykstyńskim, więc w wagonie urządzaliśmy koncerty, zaczynało się od nabożeństwa majowego, a kończyło na piosenkach partyzanckich. Z tym że miałam inną przygodę, która mogła się dla mnie skończyć tragicznie. Jak dojechaliśmy do Czelabińska, to już jest ostatnie miasto przed przekroczeniem gór Uralu po prostu zachciało mu się mleka, więc wzięłam dwa kubeczki i wyszłam na peron, gdzie był taki sklepik niewielki i było mleko. Przelewając to mleko z butelek do tych kubeczków usłyszałam, jak gwizdnął pociąg i ruszył, po prostu w przypadkach takich krytycznych bez zastanowienia chwyciłam w rękę te kubeczki i zaczęłam biec za pociągiem. Prowadnica w ostatnim wagonie zorientowała się w tym, że ja zostałam, otworzyła drzwi i ja dosłownie ostatkiem sił dobiegłam i wskoczyłam do ostatniego

tego wagonu i wtedy dopiero się przestraszyłam. Wtedy właśnie otrzeźwiałam na tyle, że się przestraszyłam tego wszystkiego, co się stało.

[5A, 00:10:00]

Zdawałam sobie sprawę z tego, że przecież byłam bez żadnych dokumentów, bez pieniędzy i bez ubrania. Następny przystanek dla pociągu był już po drugiej stronie Uralu, a pociągi wtedy kursowały raz na dobę takie właśnie jak ten pasażerski. Oprócz tego wyobrażałam sobie, co przeżywa ksiądz Piątkowski, postanowiłam wtedy przejść przez cały pociąg do tego naszego wagonu, przeszłam i zobaczyłam, że on był już spakowany i miał zamiar na następnym przystanku wysiadać. Ucieszył się bardzo z mojego powrotu, wypiliśmy to mleko...

WK: A ty je przyniosłaś?

MFŻ: Przyniosłam...

WK: A jak wskoczyłaś z nim?

MFŻ: Ono się mogło troszeczkę wychłapać z tego kubeczka, ale to było przyzwyczajenie jeszcze obozowe, że tego, co się miało w rękę to się nie wypuszczało. Bo były nawet przypadki, że niosąc kolacje dla tych moich babć inwalidek do baraku upadłam, ale kubeczków nie wypuściłam i jedzenia tego też nie straciłam. Także i w tym przypadku, mimo że biegłam, to te kubeczki miałam. Po wypiciu tego mleka ksiądz Piątkowski mówi: *Marysiu, czy ty wiesz, co ty piłaś?* Ja mówię: *No co piłam, no wiadomo, że piłam mleko. – Ale wiesz, że to mleko to kumys, że to jest mleko kobyle?* Ja mówię: *Tak, nie wiedziałam, że to kumys, ale nie jest to dla mnie żadnym taki zaskoczeniem, żebym miała po prostu dostać torsji i zwrócić po prostu taką dobrą rzecz.*

WK: Kumys to jest po sfermentowaniu dopiero, a tak to piłaś kobyle mleko.

MFŻ: To było kobyle mleko.

WK: Ale to nie był jeszcze kumys.

MFŻ: To się nie nazywa kumys?

WK: To chyba musi specjalnie sfermentować, dopiero to jest kumys.

MFŻ: Ale to było przecież w butelkach, to chyba było już, no w każdym bądź razie, czy to był kumys, w każdym bądź razie, że to było jednak kobyle mleko. Tym bardziej, że jeżeli ja jadłam już mięso końskie, no to i mleko nie było złe. Nawet oni uważali tam w Kazachstanie, że ono jest bardzo dobre. Po wypiciu tego mleka zaczęliśmy obserwować tą trasę przejazdu przez Ural, bo przecież poprzednio przejeżdżałam to w wagonie więziennym i nie mogłam obserwować. Wyglądało to bardzo ładnie, byliśmy na początku pociągu, także jak były jakieś zakręty to było widać dosłownie cały ten pociąg, jak się wił serpentyną, czy różnymi takimi zakrętami między tymi górami. A góry Uralskie trzeba przyznać, że ładnie wyglądały, to są góry stare i mają dużo

jednak zieleni i urozmaicenia. I w ten sposób dojechaliśmy do Moskwy, co trwało 5 dni bez przerwy. W Moskwie musieliśmy się przesiąść na dworzec białoruski, żeby dalej kontynuować podróż. I właśnie w Moskwie zaproponował mi ksiądz Piątkowski nadanie depeszy do domu. Niestety nie skorzystałam z tego, bo zdawałam sobie sprawę, że jeżeli się zorientują w tym, że ja wracam, szczególnie władze, no to wątpliwy jest mój pobyt w ogóle w Brześciu. Ksiądz Piątkowski wysiadł w nocy w Baranowiczach, gdzie spotkali go właśnie nowi parafianie wśród których miał pracować i pracuje do chwili obecnej.

WK: To ile ma lat?

MFŻ: Teraz ma ponad 80 lat, jest po ciężkiej operacji, ma tylko jedną ćwiartkę żołądka.

[5A, 00:15:00]

Jest już w bardzo podeszłym wieku i bardzo wyniszczony i nadal jest właśnie, z tym że nie pamiętam w tej chwili tej miejscowości. Bo ksiądz Rosiak był przez cały czas w Połoneczce, a ksiądz Piątkowski w Niedźwiedzicach. To są właśnie nasze te dawne tereny. Pojechałam do Brześcia dalej sama, dojechałam o świcie, przecież nie widziałam swojego rodzinnego miasta przez 8 lat. I przyszedłam do domu nie korzystając z żadnych środków lokomocji, bo chciałam po prostu przy okazji przejść tymi ulicami. Pamiętałam jeszcze, jak można otworzyć drzwi z haka, jeszcze te sposoby były nadal aktualne, weszłam na to nasze poddasze i stanęłam w pokoju nad moją średnią siostrą, momentalnie się obudziła. I pierwsze jej słowa były: *Jaka ty jesteś gruba*. A moje słowa z kolei: *Jaka ty jesteś chuda*. Bo już jednak poprawiłam się, mimo że nie było to jedzenie kaloryczne, ale to już nie był obóz.

WK: Poza tym przestałaś być podlotkiem, a byłaś już kobietą.

MFŻ: Tak, już miałam 26 lat, tym bardziej że ona mnie nie widziała przez 8 lat. Wielka jej zasługa była w tym, że ona cały czas pomagała mi przysyłając paczki do obozu, ale represji przeszła masę, na czym one polegały? Fakt, że ja byłam w obozie to był bardzo obciążający dla rodziny, następnie po roku po mnie był aresztowany mój tatuś, więc to już był drugi minus. Ona nigdzie nie mogła dostać pracy, wreszcie powiedziała w następnym miejscu pracy, gdzie miała szansę się dostać, że tatuś nie żyje i dopiero wtedy ją zatrudnili. Z kolei moja mama prała ludziom bieliznę i nocami obierała ziemniaki w stołówkach za te obierzyny, które zabierała. Starały się wykarmić prosiaka i w ten sposób tylko mogły wysłać mnie i dla mojego taty paczki do obozu, dzięki temu przeżyłam i wróciłam. Więc była szalona radość w domu z mojego powrotu, z tym że rodzice nie zdawali sobie sprawy z tego, że ja nie mam prawa pobytu tutaj, że ja przyjechałam nielegalnie, po prostu nie mówiłam im o tym.

WK: Który to rok?

MFŻ: To był rok, to był maj 1956 roku. Zaczynali już wracać koledzy z obozów i z zesłania, wrócili nasi księża radość nas rozpierała po prostu. Nie myślałam o tym, co mi tu grozi. W tym czasie po upływie chyba tygodnia wzywają mnie, bo jest telefon z Karagandy i dowiaduje się, że przyszły papiery na mój wyjazd do kraju. Wtedy zaczęłam się zastanawiać i doszłam do wniosku, że przecież nie ma sensu wracać do Karagandy po te dokumenty, przecież łatwiej im jest przysłać te dokumenty tutaj do Brześcia, ale łudziłam się bardzo. Postanowiłam zgłosić się na milicję i po prostu poprosić, żeby tak zrobili. Efekt był taki, że można to porównać do efektu wyładowania tego młodego niemieckiego pilota na Placu Czerwonym w Moskwie. To był po prostu dla nich szok, sama myśl o tym, że człowiek z wygnania przejechał bez dokumentów przez Związek Radziecki, przecież to było 5000 kilometrów

[5A, 00:20:00]

i przejechał przez nikogo niewykryty i niezauważony. Przez cały dzień ciągnano mnie po wszystkich oddziałach milicji i MGB, i wreszcie powiedziano mi, że muszę wracać do Karagandy, że w żadnym wypadku dokumenty nie zostaną przysłane tutaj. No więc musiałam to zrobić, innego wyjścia nie było. I znów 6 dni podróży.

WK: A dali jakiś papierek?

MFŻ: To znaczy nie musieli mi nic już dawać, wiesz, bo ja wracałam na to zesłanie swoje, to po prostu już nic mi nie dawali. Z tym że nie dali mi pieniędzy na powrót, ale ja miałam pieniądze właśnie od tego księdza. Przejechałam znów te 5000 kilometrów w przeciągu 6 dni, bez przerwy było tej jazdy. Dostałam tam dokumenty, dostałam bilet do granicy i pożegnano mnie słowami: *nie paminajcie nam lichom*, czyli w tłumaczeniu na język polski: nie wspominajcie nas źle. Cóż można było na to odpowiedzieć, przecież miałam zmarnowane najpiękniejsze lata od 18 lat do 26. Oprócz tego przecież miałam zmarnowane zdrowie. I znów przejeżdżam tą trasę tych 5000 kilometrów i po drodze znów przejeżdżam przez Brześć, zatrzymałam się...

WK: Marysiu wróć jeszcze może do momentu, gdy jesteś jeszcze, nie wiem, czy na zesłaniu, czy w obozie, moment śmierci Stalina, powiedz, jakie on wywołał wrażenie.

MFŻ: Dobrze. To muszę się cofnąć do pobytu w Abizie.

WK: Bo to tam było?

MFŻ: Tak, tak, to było jeszcze w Abizie w 1953 roku.

WK: I opowiedz tą eskalacją jak gdyby, no dodatnich skutków tej śmierci.

MFŻ: Tak, chciałam ci tylko powiedzieć, że w tym czasie znajdowałam się w szpitalu i spacerowałam w tym dniu wzdłuż naszego baraku szpitalnego. Spotkała mnie dozorczyńni Rosjanka, która była strasznie obozowa, strasznie, przepraszam, oburzona moim wyrazem

twarzą, moją radosną twarzą. I to było powodem, że się uczepiła do mnie, jak ja mogę uśmiechać się, a nie płakać, czy ja wiem, że umarł Stalin. I dosłownie gdyby nie fakt ten, że ja byłam chora i na ewidencji szpitalnej to by była mnie posadziła do karceru obozowego. A jakie były tego skutki? Skutki były dla nas bardzo dobre, to znaczy zelżał ten reżim obozowy, zdjęto nam z baraków kraty.

WK: Ale od razu, czy w pewnym czasie?

MFŻ: To znaczy w pewnym czasie, potem nastąpiło to zmniejszanie wyroków.

WK: Marysiu nieco później, czy w tym samym roku, czy w następnym wybuchły w łagrach bunt.

MFŻ: Owszem były bunt, były takie bunt szczególnie tam, gdzie były te kopalnie, gdzie było dużo... Ale bunt to raczej wybuchały w obozach męskich. Między innymi w czasie takiego buntu na 40 kopalni na Workucie zginął mój kolega Witek Ignatowicz, który pochodził z Kobrynia, jak również były przypadki ucieczek. Drugi mój kolega, Jarek Odeński uciekł z obozu jeszcze z jednym Polakiem...

WK: Ale to chyba znacznie wcześniej.

MFŻ: Jurkiem Preznerem. To znaczy ja ci nie mogę powiedzieć w tym dokładnej daty, w którym to było roku, w każdym bądź razie fakt był faktem, że oni we dwóch uciekli. Zostali potem złapani, dlatego że właściwie nie było żadnych szans, każdy człowiek sprzedałby,

[5A, 00:25:00]

to znaczy zadenuncjowałby uciekającego więźnia. Chłopcy zostali schwytani, zabici i ciała ich były przywleczone dosłownie do obozu.

WK: Ale czy ich w obozie zabito, czy po złapaniu?

MFŻ: Po złapaniu zabito ich już trupy porzucono dosłownie przed obozem i one tam, według opowiadań mojej koleżanki, a siostry Jarka, leżały przez kilka dni, jako moment odstraszenia innych od prób ucieczki. Wracając wstąpiłam do Brześcia by jeszcze raz zobaczyć się z rodzicami, zresztą miałam jeszcze, no w rezerwie pewną ilość dni do przekroczenia granicy. I wtedy zapytałam się rodziców, czy złożyli papiery na wyjazd do kraju, tatuś mi odpowiedział, że nie, bo przecież Polska jest też tam i jeżeli się opuści te tereny, to przecież ktoś tam będzie świadczył o polskości tej ziemi. Ale ja już miałam tego wszystkiego powyżej uszu, tych straconych lat, tych cierpień i przeżyć. I wtedy powiedziałam rodzicom, że jeżeli przy mnie nie złożą dokumentów, to ja po prostu nie przekraczam granicy i wracam na zesłanie do Kazachstanu. To poskutkowało i przy mnie rodzice złożyli te papiery w milicji. Tym czasem w kraju, to był rok 56, doszedł już do władzy Gomułka. Moja mama bała się, że po przekroczeniu granicy zostaną aresztowana z kolei przez Polaków. Ale ja się po prostu

wytłumaczyłam w ten sposób i uspokoiłam jej obawy, że przecież Polska obszarem jest tak mała, że gdyby nawet mnie aresztowano i posadzono w polskim więzieniu, to przecież zawsze można mnie odwiedzić. To są już minimalne odległości w porównaniu z moimi podróżami po Związku Radzieckim. W ostatnim dniu ważności dokumentów przekroczyłam granicę i efekt był nieoczekiwany po przejechaniu mostu na Bugu i wjechaniu na terytorium polskie inne było powietrze, inna była zieleń. Dosłownie po wyjściu z wagonów całowałyśmy tą naszą ojczyznę, tą naszą polską ziemię.

WK: A to z grupą innych?

MFŻ: To znaczy ja jechałam indywidualnie, ale byli ludzie wracający z zesłania i z obozów, inne osoby. Wysadzono nas na dworcu w Terespolu, nikt absolutnie nie sprawdzał naszych bagaży. Ja miałam walizeczkę drewnianą obozową i worek z szelkami na plecach, w którym był cały mój majątek. Podstawili inny pociąg już nie międzynarodowy, który przekraczał granicę tylko miejski i powieziono nas do Białej Podlaskiej, gdzie czekała na mnie moja siostra. Nie widziała mnie ona 8 lat, widziała mnie, jako 14 letnią, a teraz ja już miałam 26 lat i niestety nie poznała mnie, ale ja ją poznałam. I teraz zabrała mnie od razu do siebie do domu, także w zasadzie nawet nie byłam na tym przesylnym punkcie.

WK: Punkcie repatriacyjnym?

MFŻ: Repatriacyjnym, tak, to był punkt repatriacyjny w Grabanowie to jest przedmieście Białej Podlaski dosłownie. Ale to już mąż siostry załatwił moje dokumenty, zabrał to, co miałam rosyjski ten dokument i na podstawie tego wydano mi kartę repatriacyjną polską.

[5A, 00:30:00]

Na tej karcie repatriacyjnej mam również odnotowane zapomogi, które otrzymałam, zapomoga 1000 złotych, jako repatriant i drugie 1000 złotych, jako...

[00:00:00] Furmaniak_Zurek_Maria_AW_I_0169_5B

MFŻ: I drugie 1000 złotych, jako po prostu więzień obozów. Pokwitowałam również na tej karcie otrzymanie w sklepie, gdzie mnie zaprowadzono, płaszcza, sukienki i pantofli. Nawet po pewnym czasie przyjeżdżała do mnie do Białej komisja z Warszawy, żeby sprawdzić, czy istotnie dostałam te rzeczy, ale to było naprawdę prawdą, widocznie obawiali się może jakichś nadużyć. I teraz zaczęły się poszukiwania pracy ze względu na to, że przecież ja miałam tylko 10 palców i żadnego majątku, ani ruchomego, ani nieruchomego. Więc zaczęło się chodzenie po różnych biurach, ale nigdzie nie mogłam dostać pracy, bo każdy mnie pytał, gdzie pracowałam i co potrafię. Przecież nie mogłam powiedzieć, że byłam w obozie przez tyle lat, a jeszcze oprócz tego w obozie w Związku Radzieckim, przecież to się liczyło, że jestem wrogiem, mało, że nie wrogiem również Polski Ludowej, bo przecież to był nasz obóz

socjalistyczny. Oprócz tego nie mogłam im powiedzieć, że mam wyższe studia z łopatologii radzieckiej, że posługuje się łopata wspaniale. Niektórzy nawet przypuszczali, że ja może nie wszystko rozumiem, co do mnie po polsku mówią. Ale trafiłam na przeuroczego i przedobrego człowieka w swoim życiu. Pewnego dnia już po miesiącu poszukiwań tej pracy siostra spotkała Pana Franciszka Lubeckiego, z którym kiedyś pracowała, jak był burmistrzem w Białej Podlaskiej i powiedziała mu, że szukamy pracy, że ja wróciłam z obozu. Ten starszy Pan spojrzał na mnie i bez słowa zbędnego powiedział: *Przyjdź do mnie jutro moje dziecko*. I temu człowiekowi zawdzięczam bardzo wiele, stworzył dla mnie etat w prezydium Powiatowej Rady Narodowej w gospodarce komunalnej. Pierwsze moje pobory były 700 złotych i on mnie właściwie nauczył pracy biurowej. Jednocześnie od razu poszłam na kurs księgowości pierwszego stopnia, który ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym w przeciągu pół roku. I od razu po uruchomieniu wykształcenia w tak zwanych wieczorówkach dla pracujących cofnęłam się jeszcze o 3 lata i skończyłam średnią szkołę wieczorową również z nagrodą. Do radzieckiej matury brakowało mi przed aresztem tylko rok, ale przecież miałam 8 lat przerwy, nie miałam żadnej styczności z żadnymi wykładami.

[5B, 00:05:00]

I całe życie przeszło mi w pracy uczciwej, nie miałam nigdy żadnej pomocy w formie jakichś zapomóg, przepracowałam bez przerwy ponad 25 lat. Ale niestety zdrowie miałam zrujnowane i w 1982 roku skorzystałam z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę z grupą inwalidzką i w chwili obecnej jestem już 8 lat emerytką.